LUDWIK ŚLEDZIŃSKI
POSEŁ NA SEJM

JAK TO BYŁO

W LATACH 1905–1908

Wspomnienia o powstaniu
Organizacji Związku Zaw.
Robotników Cukrowni
b. Królestwa Polskiego
Z przedm. K. Czapińskiego

1 9 3 1

NAKŁADEM ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZW. ZAWOD.
ROBOTN. CUKROWNI RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ
W ROCZNICĘ 25-CIO LECIA

LUDWIK ŚLEDZIŃSKI
POSEŁ NA SEJM

JAK TO BYŁO

W LATACH
1905–1908

**Wspomnienia o powstaniu Organizacji Związku Zaw. Robotników Cukrowni b. Królestwa Polskiego
Z przedm. K. Czapińskiego**

1 9 3 1

NAKŁADEM ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZW. ZAWOD. ROBOTN. CUKROWNI RZECZPOSOPLITEJ POLSKIEJ
W ROCZNICĘ 25-CIO LECIA

Odbito w Drukarni „Robotnika". Warecka 7



LUDWIK ŚLEDZIŃSKI
(MIKOŁAJ)

Tow. Ludwik Śledziński, — obecnie poseł kutnowski, a niegdyś proletarjusz, terorysta, katorżnik, — ofiarowuje nam nową książeczkę swych wspomnień, tym razem dotyczących pierwocin organizacyjnego ruchu klasowego wśród robotników cukrowni.

A więc nowa garść DOKUMENTÓW ŻYCIA. Te bezpretensjonalne wspomnienia, te proste opisy pierwszych kroków socjalizmu wśród tej kategorji robotników, której niektórzy nie zaliczają do „awangardy" ruchu socjalistycznego, która jednak w polskim socjalizmie odegrała znaczną rolę, — mają niemałe znaczenie PSYCHOLOGICZNE i HISTORYCZNE. Poznajemy tu początki naszego ruchu nie w świetle zawiłych uchwał i programów, nie z suchych dokumentów drukowanych i pisanych, lecz z przeżyć, z obrazów życia. A któż mógłby lepiej i prawdziwiej przedstawić te fakta życiowe, niż nasz stary, zasłużony tow. Śledziński! Wszak to ROBOTNIK PISZE O ROBOTNIKACH! A pisze po wielu - wielu latach pracy partyjnej, więzień, katorgi i pracy parlamentarnej, — gdy przeżycia młodości mocno jeszcze trzymają się pamięci, ale lata wielkiego doświadczenia pozwalają na spokojny, objektywny stosunek do rzeczy, na należną perspektywę.

Zamało znamy dzieje swego ruchu... Znamy programy, przełomy i rozłamy, znamy życie naszych wielkich wodzów i ofiar Idei. Ale zamało znamy te dzieje w szczegółach, od WEWNĄTRZ, z psychologji MAS w początkach ruchu; tracimy niejako kontakt z dawną rzeczywistością partyjną; nie widzimy — wyraźnie — pierwszych cegiełek Wielkiej Budowy.

Cieszymy się bardzo, że powstanie perjodycznych pism historycznych („Niepodległość") ułatwi nam odzyskanie tego kontaktu. Cieszymy się też bardzo, że takie wspomnienia, jak te, które mamy przed sobą, pomogą nam w tem niewątpliwie.

Czytajmy więc te pożółkłe karty naszej wielkiej przeszłości. W drobnych fragmentach życia przypomnimy sobie swój dzień wczorajszy; zaś ze znojów i ofiar tego dnia zaczerpniemy wiary w DZIEŃ JUTRZEJSZY!...

K. CZAPIŃSKI.

18 — XII — 30 r.

WSPOMNIENIA

Pierwszym okręgiem, gdzie miałem za zadanie stworzyć silną organizację partyjną po swoim powrocie — ucieczce z Archangielska (dokąd byłem zesłany na 4 lata), był okręg Siedlecki, w którym znajdowała się jedyna cukrownia „Elżbietów" w pow. sokołowskim. W „Elżbietowie" też pierwszy raz zetknąłem się z życiem robotników, pracujących w cukrowni. Niestety, nie pamiętam już dzisiaj wielu nazwisk towarzyszy-robotników, z którymi wówczas się poznałem i serdecznie zaprzyjaźniłem.

Jesienią 1904 r. poraz pierwszy przyjechałem do „Elżbietowa", a miałem adres do tow. Jana Chomickiego, który mieszkał na parterze w domu fabrycznym. Tow. Chomickiego nie zastałem w domu, więc od żony jego i córek dowiedziałem się o ciężkich warunkach życia robotników cukrowni. Tow. Chomicki i dwaj jego synowie pracowali po 12 godzin dziennie, czasem i więcej, a płaca za ich ciężką pracę była śmiesznie mała, wynosiła np. 30 kopiejek dziennie dla 18-letniego robotnika.

Późno wieczorem odbyło się dość liczne, choć ściśle konspiracyjne, zebranie partyjne u jednego z tow. robotników. Narazie nie myśleliśmy jeszcze wtedy o organizacji zawodowej, a tylko o ściśle zakonspirowanej robocie partyjnej. Do organizacji partyjnej przyjmowaliśmy towarzyszy, uprzednio wypróbowanych i pewnych co do tego, że nie pójdą do dyrektora lub administratora i nie zdradzą swych współbraci....

Organizacja w Siedleckim okręgu już istniała, ale teraz dopiero zaczęła się bardzo dobrze rozwijać; świadomość klasowa i społeczna rosła wśród robotników dość szybko, a za nią wysuwała się potrzeba walki o lepsze warunki pracy, krótszy dzień roboczy i większą płacę za ciężką pracę. W tym czasie

została też założona kooperatywa spożywcza, w której zarządzie zasiedli nasi towarzysze, także sklepową była sympatyczka lub też towarzyszka z Warszawy. Na żądanie robotników została otwarta szkoła dla ich dzieci. W miarę coraz większej świadomości, ściślejszej i coraz liczniejszej organizacji partyjnej, rosła również potrzeba szerszego działania i zdecydowanego wystąpienia przeciw krzywdzicielom.

„Robota" wśród pracowników cukrowni.

Wiosną 1905 r. powstała do życia organizacja bojowa wśród młodych towarzyszy - robotników cukrowni „Elżbietów". Do pierwszej piątki należeli tow. tow. Józef i Karol Chomiccy, Władysław Krasuski, Józef Rajczuk i Teofil Wochna. Później powstały jeszcze dwie piątki. Do drugiej piątki mieszanej należeli: tow. z cukrowni, z miasta Sokołowa Osipiak Józef oraz z pobliskiej wioski tow. tow. „Maciej" i „Ryszard". Trzecia piątka powstała już znacznie później, tak, że gdy po roku przypadkowo byłem u towarzyszy w cukrowni „Elżbietów", trudno mi było dowiedzieć się, kto do niej należał, bo regulamin absolutnie zabraniał o tem mówić nawet towarzyszom, jeżeli nie byli członkami Wydziału Bojowego.

Tow. Chomicki umarł w 1922 r. jako 74-letni starzec-robotnik-socjalista, bojownik nieustraszony i nieugięty partyjny towarzysz. Z domu jego byli aresztowani w 1908 r. synowie: Józef i Karol, oraz córka Marja, zięć Józef Krasuski i jego brat Władysław Krasuski. Józef Krasuski został 2-go czerwca 1909 r. powieszony za działalność pepesową przez carskich siepaczy. Marja Chomicka została skazana na 18 lat katorgi, a Władysław Chomicki, ranny przy rzuceniu bomby na policmajstra w Siedlcach, uciekł zagranicę, a brat jego Karol uciekł z Sokołowskiego więzienia, gdzie siedział za zabójstwo strażnika w Sokołowie. Po Krasuskim Józefie została żona Władysława i czworo dzieci.

Rodzina rewolucjonistów.

Jakie to były czasy, wskazują dzieje choćby tej jednej rodziny Chomickich i Krasuskich. Katorga i stryczek za umiłowanie wielkiej idei socjalistycznej pod bojowemi sztandarami P. P. S. Bardzo a bardzo żałuję, że nie pamiętam więcej nazwisk tych zacnych, odważnych, wysoce ideowych, pełnych poświęcenia, a takich ludzkich i kochanych robociarzy z cukrowni „Elżbietów". Szkoda wielka, że ich nazwisk nie mogę tutaj zapisać. Napewno wielu z nich już dziś nie żyje, zginęli dla wielkiej idei socjalistycznej, a dla tej idei nikt przecie nie zgi-

nął daremnie. Może więc ci, którzy pozostali przy życiu, podadzą nazwiska tamtych do wiadomości publicznej przez Stowarzyszenie b. więźniów politycznych.

Przy pomocy towarzyszy z cukrowni powstała organizacja partyjna również i wśród robotników — przeważnie szewców — w mieście Sokołowie.

Na konferencji okręgowej w Siedlcach, wiosną 1905 r., przy udziale kilku towarzyszy z „Elżbietowa", została przyjęta rezolucja, w której konferencja zwraca się do C. K. R. z wezwaniem, by podczas lata zajął się zorganizowaniem wszystkich cukrowni w Królestwie, celem wywalczenia lepszych warunków bytu dla robotników, pracujących w cukrowniach.

Nie wiem, czy C. K. R. ówczesny miał to w swoim planie, czy też przychylił się do tego żądania konfrencji w Siedlcach, dość, że gdy wyjechałem w maju 1905 r. do okręgu Lubelskiego, dostałem polecenie, by w czerwcu lub najdalej w lipcu zwołać okręgową konferencję wszystkich cukrowni okręgu Lubelskiego.

Pierwsze kroki.

Przed rozpoczęciem tej specjalnej organizacyjnej pracy odbyłem obszerną konferencję z tow. „Felkiem" — inż. Józefem Ciszewskim — który był członkiem Wydziału Wiejskiego P. P. S., a któremu C. K. R. polecił zorganizować robotników cukrowni, a także przystąpić do organizowania robotników folwarcznych, jednakże szczególną uwagę i pośpiech mieliśmy w pierwszym rzędzie zwrócić tylko na robotników cukrowni. Umówiliśmy z tow. Felkiem co do programu, wysuwanych żądań przez robotników cukrowni, badania ciężkich warunków ich pracy w poszczególnych cukrowniach, badania nastrojów i możliwości rozpoczęcia walki o poprawę za pomocą zbiorowego wystąpienia, strajku i t. d.

W okręgu Lubelskim miałem 10 cukrowni. W przeciągu 6 tygodni powinna była powstać oddzielna organizacja w każdej cukrowni, poczem — drogą zjazdu — miała powstać organizacja okręgowa wszystkich 10 cukrowni. Teoretycznie łatwo się to przedstawiało, ale praktycznie wprowadzenie w życie takiej organizacji było b. trudne, tembardziej w takich cukrowniach, gdzie nie było ani jednego robotnika, myślącego kategorjami organizacji klasowej.

Przy pomocy miejscowej organizacji partyjnej nawiązywałem stosunki z cukrownią Lublin — niedaleko stacji kolejo-

wej. Na zebraniu, składającem się z zaufanych tylko robotników, omówiliśmy szereg spraw organizacyjnych i wybrany został komitet (ściśle zakonspirowany) z trzech towarzyszy, który miał za zadanie zbieranie materjałów, dotyczących warunków pracy i płacy, jednania ludzi do organizacji i wskazywania na jednostki, do którychby można się poufnie zwrócić w innych cukrowniach. Miałem zaszyfrowane imiona i nazwiska wszystkich trzech towarzyszy z komitetu, aby nie do jednego tylko chodzić, a coraz do innego, stosownie do okoliczności. Komitetowi organizacyjnemu powierzono wyszukanie odpowiedniego lokalu na konferencję okręgową. W pierwszą zaś niedzielę kilku towarzyszy pojechało do pobliskich cukrowni jako to: „Trawniki", „Zagłoba", „Opole", „Rejowiec", aby zbadać i nawiązać nici organizacyjne z tamtejszymi robotnikami.

Doprawdy, gdy sobie dziś przypominam tak piękne i wzniosłe chwile, doznaję wzruszenia i ogarnia mnie jakaś dziwna tęsknota za tym zapałem, entuzjazmem, wysoką ideowością i bezgranicznem poświęceniem ówczesnych towarzyszy. O ileż rzadziej spotyka się dziś te nieocenione zalety w szeregach proletarjatu. A przecież najszczytniejsze hasła ludzkości nie tylko że się nie przeżyły, ale naodwrót — ugruntowały się, rozpowszechniły i dla ludu roboczego stały się jedyną drogą do nowego, lepszego jutra.

Poza Lubelską cukrownią najpierw pojechałem do cukrowni „Trawniki", a z „Trawnik" po drodze do „Rejowca". W Trawnikach w czasie obiadu umówiłem się z zaufanymi towarzyszami, iż wieczorem podczas wyjścia robotników z fabryki urządzimy wiec przed bramą, gdzie mają być wszyscy zatrzymani. Paru towarzyszy stało podczas wiecu na straży w różnych miejscach, aby wiecu nie zwęszyła policja.

Historja, jakich wiele.

Podczas mego oczekiwania od obiadu do wieczora zwróciła się do mnie siostra żony tego towarzysza, u którego się zatrzymałem. Z płaczem opowiedziała mi historję swego nieszczęścia, prosząc, bym jej przyszedł z pomocą i radą. Mianowicie, jako młoda i ładna dziewczyna, została służącą na plebanji. Ksiądz proboszcz tak sobie tę ładną grzesznicę umiłował, że dał jej rozgrzeszenie za wszelkie złe i zdrożne myśli. Miłość zaś, którą do niej zapałał i jej wyznał, uważał za świętą, a tak przekonywująco jej to wyłożył, że uwierzyła gorącym przysięgom.

Upłynęło wiele czasu wśród sielanki i miłość księdza do

ładnej służącej miała wydać wkrótce owoc błogosławiony jej żywota... Ksiądz wysłał ją wówczas do Warszawy, aby w parafji nie siać zgorszenia, bo te „chamskie dusze" nie zrozumiałyby nigdy podniosłych uczuć księdza do służącej. Dziecię po urodzeniu zostało oddane na „garnuszek" fabrykantce aniołków. Księża oblubienica wróciła na plebanję, pełna oczekiwania nowych upojeń w pożyciu z ukochanym kapłanem. Coś jednak przez czas jej nieobecności popsuło się. Księżyna powitał matkę swego dziecka obojętnie, a nawet niechętnie, tłomacząc jej, że powinna wrócić do swej rodziny, że trzeba się poddać woli Bożej i t. p.

Przyjechała więc tu do siostry, a tymczasem ksiądz nie chce dawać na utrzymanie dziecka i nie chce się z nią widzieć. Z płaczem prosiła mnie, bym jej poradził, co ma zrobić.

Co mogłem tej nieszczęsnej kobiecie poradzić i jak ją nauczyć, by się upominała o swoje sponiewierane prawa matki? Świadków nie miała. Przed sądem nic nie wskórałaby. Poradziłem jej, by napisała list do księdza, zaapelowała do jego uczucia ojca i człowieka. Żeby mu jednocześnie zagroziła, że jeżeli będzie się uchylać od swego obowiązku utrzymywania dziecka, ona poda do pism wiadomość o księżej zbrodni, fałszu i obłudzie, które nie przystoją księdzu rzymsko - katolickiego kościoła...

Gdy jesienią byłem znów w Trawnikach, opowiedziano mi, że księżulek wezwał ją do siebie, bardzo się usprawiedliwiał, ale ona nie została na plebanji, bo jej miejsce zajęła już inna, młodsza. Więc dostała jednorazowe „odszkodowanie" za swoją hańbę.

Odbiegłem od tematu, ale sprawa ta była wówczas w Trawnikach niezwykle aktualna, cała osada fabryczna o niej wiedziała i mówiła, a wielu robotnikom i ich żonom otworzyła oczy na rzekomą „naukę" ojców kościoła.

Wędrówka po cukrowniach.

Na drugi dzień odbył się wieczorem wiec w cukrowni „Rejowiec". Tu poznałem b. dzielnego blacharza, robotnika stałego, tow. Rutkowskiego, oddanego całą duszą naszej partji, oraz inżyniera - chemika tow. Bromirskiego. Rutkowski w przyszłości był członkiem Zarządu Gł. Z. Zaw. Rob. Cukrowni. Kilka razy żandarmi robili rewizje u niego, był aresztowany, a nawet, zdaje się, zesłany do Rosji. Tow. Bromirski prowadził

pracę kulturalno - oświatową i oddawał usługi tak partji, jak i robotnikom cukrowni *).

Do cukrowni „Zagłoba" przyszedłem wieczorem, gdzie odbyło się maleńkie zebranie u tow. Malinowskiego, jasnego blondyna, z wąsami wielkiemi, jak wiechy, z oczami pełnemi szczerości i bezgranicznego uwielbienia dla idei socjalistycznej. Na drugi dzień w niedzielę zrana odbyło się większe konspiracyjne zebranie u jednego towarzysza w mieszkaniu na piętrze, skąd — jak mówiono — widać było całą okolicę i gdyby w oddali ukazali się żandarmi, możnaby było się spokojnie rozejść.

Odrazu powstała tu organizacja ściślejsza i nawiązany został stały kontakt z podaniem hasła i zapisaniem pseudonimów towarzyszy, których obrałem, jako kierowników pracy uświadamiającej i organizacyjnej. Z takim samym rezultatem odbyły się zebrania w „Trawnikach" i „Rejowcu".

Z „Zagłoby" poszedłem do Opola, ale tu nie zastałem tego towarzysza, do którego miałem adres. Poczekałem do wieczora, ale i wieczorem nie dało się zebrania zwołać, bo robotnicy bali się, a nawet nie przyszli ci, na których z całą pewnością liczono. Także obawiali się dać mi noclegu, tak, że musiałem udać się na nocleg na wieś.

Na drugi dzień wczesnym rankiem poszedłem piechotą do cukrowni „Klemensów", gdzie miałem adres do tow. Bisagi. Furmanki nie miałem za co nająć, a okazja się nie trafiła. Zrobiłem przeszło 50 km. piechotą i przyszedłem do Klemensowa przed wyjściem robotników z fabryki. Po zapoznaniu się z tow. Bisagą, odbyliśmy jeszcze z kilku towarzyszami krótką naradę, gdzie i u kogo ma się odbyć zebranie. Postanowiono odbyć je w szkole, wolnej z powodu wakacji. Zebranie zaczęło się około 8-ej i trwało blisko do 12-ej w nocy.

Najwięcej zbiorowego poczucia i świadomości — poza „Elżbietowem" — znalazłem tutaj u robotników w Klemensowie. Trzeba bowiem pomyśleć i przypomnieć, jakie to były czasy, aby zrozumieć, jak wiele robotnicy wówczas mieli odwagi.

Na moją uwagę, że w szkole nie można robić konspiracyjnego zebrania, bo to może pociągnąć za sobą dla miejscowych towarzyszy b. ciężkie konsekwencje, odpowiedzieli, że konsekwencji się nie boją, bo u nich musi być tak, jak tego chcą... Słowem znalazłem wśród robotników w cukrowni „Kle-

---

*) Za usilnem staraniem tow. Bromirskiego, została otwarta pierwsza szkoła polska w osadzie cukrowni Rejowiec.

mensów" ludzi odważnych, pełnych poświęcenia i dużego wyczucia swej odrębności klasowej.

Po nawiązaniu stosunków i założeniu początkującej organizacji partyjnej w cukrowniach: Lublin, Trawniki, Rejowiec, Zagłoba, a przez Zagłobę — Opole i Klemensów, dostałem od towarzyszy adresy do ich przyjaciół i znajomych oraz krewnych w cukrowniach Nieledew, Strzyżów, Mircze i Poturzyn. Z tych czterech cukrowni dosyć spokojnie i względnie dobrze odbyły się zebrania publiczne w Nieledwi i Strzyżewie, gdzie bez przeszkód nawiązałem z towarzyszami organizacyjne stosunki. Pobyt w Mirczach i Poturzynie, zwłaszcza w tym ostatnim, o mało co nie przypłaciłem utratą wolności...

Wśród „nowych" ludzi.

Do Mircz miałem adresy z Warszawy z Wydziału Wiejskiego do towarzysza, a może tylko sympatyka, mechanika cukrowni. Otóż przenocowałem w Hrubieszowie u tow. Orłowskiego z Siedlec — stroiciela fortepianów, a wieczorem u jednego towarzysza blisko cmentarza odbyło się zebranie partyjne. Do organizacji należeli tu: kilku robotników, prowizor apteki i jeszcze ktoś z nim i dwuch nauczycieli. (Razem z Hrubieszowskiej organizacji było ich około 15-u). Było to pierwsze organizacyjne zebranie ludzi, którzy dopiero na tem zebraniu dowiedzieli się o programie P. P. S. Wszyscy oni jednak mieli wtedy w sobie ducha, nakazującego im pracować w szeregach partji.

Na drugi dzień poszedłem pieszo do cukrowni Mircze — wogóle przeważnie piechotą chodziliśmy do różnych miejscowości ze względów konspiracyjnych. Przyszedłem około 3-ej pop. i, dowiedziawszy się, gdzie mieszka pan mechanik, udałem się do jego mieszkania. Zastałem tylko żonę z dwojgiem dzieci, więc prosiłem ją, by posłała po męża, bo mam do niego ważny i pilny interes.

Mechanik przyszedł, przedstawiłem mu się i podałem hasło, otrzymane od towarzysza, który mi dał adres mechanika. Lecz tenże nie mógł sobie przypomnieć ani tego, który mi dał doń adres, ani hasła, którego mu nikt nie dawał. Jednakże zapewnił mnie, że co będzie mógł, zrobi w tej sprawie. Żona jego tymczasem przygotowała herbatę, a on obiecał, że przyśle do mnie dwuch zaufanych robotników, to się z nimi umówię, gdzie i kiedy urządzić zebranie.

Z towarzyszy, którzy przybyli, pamiętam tylko jedne-

go — rymarza Kotarskiego, wysokiego i silnego mężczyznę, a jak się potem okazało — ogromnie ofiarnego towarzysza i b. mądrego i sprytnego organizatora i agitatora. Umówiliśmy się, że przyjdę o szarówce do miejscowej piwiarni, do ostatniego dużego pokoju, gdzie będą czekać na mnie towarzysze. Zebranie musiało się tam odbyć, bo innego lokalu nie mieli, a swych mieszkań bali się oddawać na tego rodzaju zebrania. Wobec tego proponowałem zebranie pod gołem niebem, blisko folwarku w niewielkiej olszynce, ale tłomaczyli, że to będzie niedobrze, więc zgodziłem się na piwiarnię z tem, że rozciągną warty, które miały ostrzec przed ewentualnem najściem policji. Chociaż w innych cukrowniach też odbyły się po raz pierwszy tak liczne i jakby publiczne zebrania — wiece, to jednak nigdzie nie oczekiwano z taką ciekawością zobaczenia żywego socjalisty, jak tu w Mirczach.

Pracowali tu rusini i polacy, prawosławni i katolicy, jątrzeni nieustannie przez różne organizacje bądź to na tle narodowościowem, bądź religijnem. Te i im podobne przyczyny doprowadziły robotników do ustawicznego wrzenia i wzajemnej nienawiści; zwalczali się, donosili jedni na drugich, każdy chciał być lepszy w oczach właściciela rozległych folwarków i cukrowni, p. Rulikowskiego.

Stara to, ale wypróbowana metoda: niech się robotnicy żrą między sobą, a fabrykant czy dziedzic będzie wszystkich trzymał krótko i obdzierał z owoców ich pracy. Skłóceni robotnicy nie przedstawiają żadnej siły, więc każdy łotr i bałwan, a nawet tchórz może nimi rządzić. Inaczej — gdy robotnicy są uświadomieni i zorganizowani: ci nie dadzą się gnębić i przez swą organizację tworzą siłę, która ma do gruntu zmienić dzisiejszy porządek świata. „Nowy zaprowadzim ład...", jak mówi nasza pieśń bojowa.

Pierwsze słowa prawdy.

Przyszedłem do piwiarni z zachowaniem wszelkich ostrożności już o szarówce. Front był zamknięty, na co nie byłem przygotowany i w pierwszej chwili nie wiedziałem, co robić. Zdecydowałem się jednak dostać do środka, więc zaszedłem z sieni. Zebranie było b. liczne: dwa duże pokoje zapełnione do ostatniej możliwości. Wszyscy przyglądali mi się, jak niezwykłemu zjawisku.

Gdy przemawiałem do tych prawie pańszczyźnianych niewolników, to ci biedni, okradani ze swej ciężkiej pracy ludzie mieli łzy w oczach. Mówiłem wtedy, że robotników jest

b. dużo, że mają wielką siłę, że mogliby zaprowadzić inne sprawiedliwe rządy, ale do tego muszą się wszyscy ludzie pracy zjednoczyć, bo wszyscy, co pracują, są jakby braćmi, wszyscy jednakowo okrutnie wyzyskiwani i krzywdzeni przez garstkę ludzi bogatych. Nie prośbą i błaganiem lub modlitwą dochodzi się do lepszego życia, trzeba zorganizowaną siłą bronić się przed zdzierstwem bogaczy; solidarnemi wystąpieniami zdobywać ludzkie warunki życia i prawa; w zdecydowanej i świadomej walce obalić dzisiejszy porządek świata, pełen fałszu i obłudy, podstępu, rozboju i bezmiernej krzywdy miljonów ludu roboczego...

Nikt dotąd nie mówił do nich tak prosto i szczerze i dlatego ci biedni ludzie byli wówczas bardzo przejęci i bojowo nastrojeni. Przyrzekli mi, że nie będą się między sobą zwalczać, lecz podadzą sobie ręce i pójdą pod czerwonym sztandarem P. P. S. do walki o wolność i niepodległość polityczną, o lepsze jutro, o socjalizm.

Na zebraniu tem było kilku robotników z folwarku, więc w tajemnicy przed wszystkimi poszedłem z nimi na wieś nocować. Miałem jeszcze zebranie po ciemku w izbie, gdzie nocowałem, z kilku towarzyszami, którzy przysięgli na najświętsze dla nich rzeczy, że w wielkiej tajemnicy będą pracować dla rewolucji i jeżeliby przyszło nawet zginąć, to jeden drugiego nie zdradzi, a naodwrót — będą się starać pomagać sobie. Umówiliśmy się co do adresów listownych oraz wyboru jednego lub dwuch delegatów na zjazd w Lublinie. Rozmawialiśmy szeptem, aby za ścianami nikt nie słyszał...

W miejsca nieznane.

Na drugi dzień raniutko poszedłem do cukrowni Poturzyn, oddalonej o 3 — 4 km. od granicy austrjackiej, wedle określenia towarzyszy. Nie spieszyłem się, przybyłem do Poturzyna w obiad. Było w końcu miesiąca czerwca lub początkach lipca. Miałem adres do pewnego zaufanego robotnika, którego nazwiska, niestety, nie pamiętam. Szedłem w stronę domków robotniczych.

Gdy byłem już niedaleko, zapytałem przechodzącego chłopca o owego towarzysza. Było to na chodniku pod szczelnym parkanem, za którym znajdowała się altana, a w niej jakiś wyższy urzędnik cukrowni słyszał naszą rozmowę, tembardziej, że chłopiec głośno dawał mi objaśnienia i wymienił najmniej dwa razy nazwisko robotnika, o którego pytałem. (O istnieniu altany za parkanem i o tem, że ktoś przysłuchiwał się

mojej rozmowie z chłopcem nie wiedziałem wówczas i nie mogłem przypuszczać, że ktoś zrobi z niej użytek).

Poszedłem według wskazanego mi przez chłopca planu. Towarzysza zastałem, ale nie mógł mnie przyjąć, bo mieszkanie jego bielili i przestawiali piec. Gdy więc powiedziałem mu cel przyjazdu, po krótkim namyśle zajął się ulokowaniem mnie u sąsiada.

Dom fabryczny zbudowany był w kształcie długich koszar, poprzecinanych sieniami, a w każdej było wejście do czterech mieszkań robotniczych. Towarzysz, do którego miałem adres, mieszkał w szczycie domu z przybudówką drewnianą i małem okienkiem przed wejściem do izby. Sąsiad, u którego mnie ulokował, miał takież mieszkanie z przybudówką, ale pierwsze od ulicy.

Umówiliśmy się, że po pracy urządzimy zebranie w pobliskim lasku, o czem zawiadomi się poufnie robotników, wyznaczając godz. 7-mą po poł.

Po obiedzie towarzysze poszli do pracy, ja przespałem się kilka godzin. Potem wyczyściłem rewolwer i naoliwiłem, prowadząc równocześnie rozmowę z żoną gospodarza mieszkania. Przyszła sąsiadka, więc przekonywałem obie niewiasty o potrzebie walki z rządem carskim i z wyzyskiem. Żony robotników nie miały wiary w prowadzenie tej walki, bo — jak mówiły — „naród jest fałszywy", „nie można ludziom wierzyć" i t. p. Czas szybko minął na tej pogawędce, mężczyźni wrócili, opowiadając mi, że znaleźli lepsze i bezpieczniejsze miejsce na zebranie.

Już mieliśmy się wybrać, ale towarzysz nasz wyszedł przed sień urąbać trochę drzewa. W tej samej chwili wrócił jednak zmieszany i przerażony, donosząc, że policja idzie w naszą stronę. Żona jego rzuciła się do mnie, prosząc, bym jej oddał rewolwer, że przez to się ocalę. Zawahałem się sekundę, ale zdecydowałem, że póki mam broń przy sobie, nie dam się żywcem wziąć. Wyszedłem do sionki i przez okienko obserwowałem, że policja weszła do mieszkania, do którego miałem uprzedni adres, o który pytałem chłopca. Zorjentowałem się natychmiast i wyszedłem na ścieżkę, prowadzącą do ulicy. Na skręcie stał stójkowy i powiedział mi, że nie wolno wychodzić, na co mu odpowiedziałem, że nigdzie nie idę. A że byłem z gołą głową, nie śmiał mnie zatrzymać. Ulica miała silny skręt, więc dopiero na tym skręcie zauważyłem dwuch żandarmów, idących naprzeciwko mnie. W tym samym momencie usłyszałem za sobą rozkaz: „Zadzierżitie jewo". Idąc wciąż naprzód

obejrzałem się na te słowa: stójkowi poza mną byli o wiele dalej, aniżeli żandarmi przedemną. Szybko wyjąłem rewolwer i wycelowałem w stronę idących mi naprzeciw, rozkazując głośno, aby się usunęli z mej drogi, bo inaczej będę strzelał.

Żandarmi jakby piorunem zostali rozszczepieni, a ja tymczasem biegłem już co sił z góry na drogę do lasu. Naprzeciw mnie jechało kilka furmanek z sianem. Żandarmi krzyczeli, by mnie chłopi zatrzymali, ale żaden nie zdradzał ochoty do tego. Oglądając się, widziałem, jak pochyleni w białych „kitlach" gonili mnie bocznemi dróżkami, miedzami, byle mi przeciąć drogę do lasu, ale to im się nie udało. Gdy byli bowiem już blisko stanąłem i strzeliłem do nich, a oni... albo padali na ziemię albo uciekali z powrotem...

Przed samym lasem na dużej polanie paliło się ognisko przez które skakali pastuszkowie. Przeszedłem wolno, bo dalej już nie mógłbym biec. Oddychałem ciężko, naprężenie powoli ustępowało, stawałem się spokojniejszy. Wszedłem w gęstwinę leśną i przez jakiś czas obserwowałem ze spokojem, czy pogoń ustała. Zdawało mi się, że tak. Byłem cały mokry, zaczynało mi być chłodno.

Ucieczka.

Postanowiłem iść naprzód w głąb lasu. Szedłem z rewolwerem w ręku, ostrożnie, po cichu, rozglądając się na wszystkie strony. Zaczęło się robić szaro. Obrałem sobie miejsce pod wielkim dębem, usiadłem, by odpocząć. Było mi zimno bez kapelusza i płaszcza. Przytulony do drzewa zasnąłem.

Gdy się przebudziłem, rewolweru w ręku nie miałem, więc przeraziłem się i zaraz w ciemności zacząłem rękami wokoło siebie szukać. Rewolwer leżał obok mnie na ziemi. Uspokoiłem się, ale drżałem z zimna. Wstałem i wśród ciemności zacząłem się gimnastykować dla rozgrzewki. Ruszyć się z miejsca nie mogłem, bo każde stąpnięcie wywoływało trzask łamanych gałązek. Usiadłem w tem samem miejscu i postanowiłem czekać do świtu, żeby zobaczyć, która też jest godzina.

Długo jeszcze czekałem, zanim zrobiło się szaro, a potem zacząłem już spostrzegać wokoło siebie sylwetki drzew. Miałem zamiar poszukać ścieżki, którąbym wyszedł albo na drogę, albo do domu leśnika. Las był duży, szedłem sporo czasu, nim trafiłem na ścieżkę dobrze udeptaną. Stanąłem, rozmyślając, w którą stronę się udać. Nie orjentowałem się gdzie jestem. Poszedłem na lewo, zachowując ostrożność.

Ścieżka wyprowadziła mnie wkrótce na szosę: i znów nie wiedziałem, w którą stronę się udać. Po namyśle poszedłem na

prawo t. j. w kierunku, w którym szła ścieżka. Szedłem lasem, biorąc jako kierunek drogę. Po godzinnej lub dłuższej wędrówce las się skończył, a na jego skraju po lewej stronie szosy, w oddaleniu mniej więcej kilometra ujrzałem wieś.

Przeszedłem blisko połowę odległości ku wsi, gdy w dali ukazał się tuman kurzu. W pierwszej chwili pomyślałem sobie: pewnie jadą kozacy. Nie było się gdzie schować, ani uciekać, więc postanowiłem się bronić do upadłego, aby utratę wolności opłacić śmiercią kilku kozaków. Na szczęście — okazało się, że to nie kozacy, lecz bydło wypędzone na pastwisko.

Doszedłem spokojnie do wsi, rozglądając się na wszystkie strony. Zdaleka widziałem, jak ładowano coś na wóz. Podszedłem i spytałem gospodarza, dokąd jedzie. Odpowiedział, że na jarmark do Hrubieszowa. Poprosiłem go, żeby mnie zabrał z sobą, na co się chętnie zgodził, ale kupcowa zaczęła protestować, że wynajęła dla siebie całą furmankę, więc musiałem ją uspokoić obietnicą zapłaty.

Z braku czasu szybko umyłem się przy studni i poprosiłem gospodarza. by mi wynalazł jakąś czapkę, to zapłacę, jak za nową. Włościanin wbrew protestom kupcowej, poszedł do domu i przyniósł mi kaszkiet swego syna. Czapka okazała się akurat dobra na moją głowę. Nie zwlekając siadłem z gospodarzem na „koźle" i szybko pojechaliśmy do Hrubieszowa. Strasznie chciało mi się jeść, skorzystałem ze sposobności, gdy kupcowa brała po drodze towar u pachciarza i poprosiłem o jedzenie. Córka pachciarza szybko ukrajała porządny kawał chleba, posmarowała masłem i obłożyła serem, dając mi to na drogę, w którą wszystkim bardzo się spieszyło. Około godziny 6-ej rano zobaczyliśmy zdaleka Hrubieszów. Postanowiłem kilometr przed miastem zejść z wozu i dojść bocznemi ścieżkami. Ale gdy byliśmy od miasta jakie 3 km. ujrzeliśmy, zdaleka ogromne kłęby dymu. Nie było wątpliwości, to od wielkiego pożaru. Widziałem jak zewsząd spieszyli ludzie do tego miejsca, więc i nasz gospodarz poganiał konie, by jaknajśpieszniej stanąć na rynku. Wobec tego dojechałem do samego miasta.

Zbawienny pożar.

Poszedłem zaraz do tow. Orłowskiego i u niego doprowadziłem się do porządku. Przedewszystkiem zgoliłem czarną brodę, oczyściłem się, umyłem, przebrałem w czystą bieliznę. Kupiłem sobie tani kapelusz i poszedłem do towarzysza, który pracował w aptece.

W Hrubieszowie paliła się garbarnia czy też jakaś inna fabryka. Ten pożar pomógł mi bardzo, bo — jak się dowiedziałem od towarzyszy — naczelnik straży ziemskiej wydał rozkaz policji i szpiclom, by mnie przytrzymano przy wejściu do miasta, a rysopis mój posiadali. Gdy się zaczęło palić, wszyscy poszli na miejsce pożaru, a ja spokojnie doszedłem do miasta.

Opowiedziałem towarzyszom swe przygody i po południu z odjeżdżającemi karetkami udałem się do Chełma, skąd zaraz miałem jechać do Lublina. W Chełmie byłem już raz na zebraniu partyjnem, na którem było sporo towarzyszy robotników fabrycznych, warsztatowców i trochę inteligencji. Między innemi była tam towarzyszka krawcowa, której córka, uczennica gimnazjum lubelskiego, należała do naszego koła młodzieży. Adresów jednak żadnych nie miałem i mieszkań nie pamiętałem, tembardziej, że w obawie przed aresztowaniem wszelkie notatki poniszczyłem. Była już godzina 10 wieczór, w słabo oświetlonem mieście trudno mi było odnaleźć mieszkanie, w którem poprzednio byłem tylko raz jeden.

Żandarmi i szpicle mieli mój rysopis, ale ponieważ w Hrubieszowie ogoliłem się i zmieniłem swój wygląd zewnętrzny, o ile to tylko było możliwe, przeto postanowiłem pójść śmiało na stację i — o ile trafię na pociąg w stronę Lublina — pojechać do domu.

Na stacji dowiedziałem się, że pociągi nie chodzą, bo kolejarze zastrajkowali. Zapytałem żandarma, czy to prawda, odpowiedział, że zastrajkowali, ale pewno zaraz wrócą do pracy, bo naczalstwo postawiło im do wyboru: powrót do pracy, lub aresztowanie i rozstrzelanie bez sądu. Powiedziałem żandarmowi, że w takim razie poczekam na stacji, bo chcę jechać do Rejowca, a żandarm mi na to zaproponował, abym pojechał pociągiem, który poprowadzą żołnierze. Trudno mi było się cofnąć, więc po otrzymaniu od zawiadowcy stacji zezwolenia na przejazd wojskowym pociągiem, wyruszyłem z Chełma o północy w kompanji bardzo podejrzanych osobników.

Szczęśliwie przyjechałem do Lublina i bez przeszkód dostałem się na Kalinowszczyznę do tow. Borkowskiego, u którego mieszkałem.

Konferencja lubelska.

Przy pomocy towarzyszy z cukrowni Lublin zorganizowaliśmy konferencję okręgową lubelską. Odbyła się ona w zabudowaniach rzeźni, obok cukrowni, blisko toru kolejowego.

Delegaci przyjeżdżali do robotników cukrowni, a miejscowi towarzysze prowadzili ich do miejsca konferencji.

Delegaci przyjechali na Konferencję Okręgową z materjałem o stanie pracy i zarobków robotników stałych i sezonowych (w czasie kampanji). Szczegółowo omówiono całokształt życia, pracy i płacy oraz opracowano szkic żądań, które miały być rozpatrzone na ogólno - krajowej konferencji w Warszawie, a potem — przedkładane przez robotników poszczególnych cukrowni dyrektorom do zgody i zatwierdzenia.

Konferencja trwała cały dzień i śmiało można powiedzieć, że położyła trwały fundament pod przyszłą organizację zawodową robotników cukrowni. Towarzysze z 9 cukrowni po raz pierwszy zebrali się razem i cały dzień radzili nad poprawą swego niewolniczego życia. Szykowali się do ciężkiej i zażartej walki ze swymi odwiecznymi wyzyskiwaczami. Układali program walki i zwycięstwa. Wierzyli w to zwycięstwo, w solidarność robotników i śnili złoty sen o lepszej przyszłości, o wolności politycznej narodu i o znacznej poprawie bytu klasy robotniczej.

Po paru godzinach rzeczowych obrad konferencja lubelska zakończyła swoje prace, towarzysze rozjechali się, by znów wkrótce spotkać się w Warszawie.

Dodać należy, że przed konferencjami okręgowemi PPS. rozpowszechniła kwestjonarjusze, dotyczące warunków pracy i płacy, które otwierały robotnikom oczy na cały splot okropnych warunków, w jakich musieli żyć robotnicy cukrowni.

W czasie, gdyśmy obradowali w Lublinie, odbyły się również konferencje okręgowe robotników cukrowni innych okręgów.

Na początku sierpnia, czy też nawet na końcu lipca, miała się odbyć ogólno - krajowa konferencja delegatów, po jednym od każdej cukrowni, w Warszawie. Delegaci ci otrzymali adres t. zw. podbiura, gdzie dopiero wskazywano im właściwy adres konferencji.

Na konferencji tej dowiedziałem się od towarzyszy z Mircz, że w cukrowni Poturzyn doniósł żandarmom o mnie ów urzędnik, który siedział w altanie i niechcący podsłuchał moją rozmowę z chłopcem. Sprawa miała przebieg następujący: P. Rulikowski z Mircz, gdy się dowiedział, że wieczorem było zebranie, na którem przemawiał jakiś socjalista „Mikołaj", rozkazał zaraz zawiadomić zarząd cukrowni Poturzyn oraz posterunek policji i żandarmerji. Gdy w Poturzynie otrzymali tę wiadomość telefonicznie i w kantorze o tem mówili,

wtedy zgłosił się ów urzędnik i wyraził przypuszczenie, że tym socjalistą byłem pewnie ja. Inni urzędnicy nie dali temu wiary, ale on poszedł do żandarmów i powiedział im całą historję z podsłuchaną rozmową.

Jeszcze raz wyrażam tutaj swój żal, że nie pamiętam nazwisk towarzyszy tamtejszych, które w pierwszym rzędzie należałoby tu utrwalić dla czci i chwały wszystkich robotników za bohaterstwo i ofiarność dla dobra idei socjalistycznej i dla dobra robotników, pracujących w cukrowniach. Niemniej muszą się tu znaleźć również nazwiska, które zasłużyły na wieczną hańbę i pogardę za zdradę sprawy robotniczej, za donosicielstwo na braci.

Pierwszy Zjazd robotników cukrowni w Warszawie.

Towarzysz Ciszewski (Felek) zorganizował odbycie się tego naprawdę pierwszego Zjazdu Robotników cukrowni w Warszawie w końcu lipca 1905 r. Odbył się on na Marszałkowskiej róg Wilczej w mieszkaniu czy to Andrz. Niemojewskiego, czy też W. Sieroszewskiego (tego dobrze nie pamiętam). Gospodarzy w domu nie było. Delegatów przyjechało około 40-tu z 38-iu cukrowni. Przygotowane już były na dużych zwykłych arkuszach papieru żądania robotników, które po przedyskutowaniu szczegółowem uchwalono ostatecznie.

Konferencja ta zapoczątkowała powstanie przyszłego Związku Zawodowego Robotników Cukrowni. Był na niej obecny tow. Witold — Szapiro, pomagały tow. tow. Mara i Wera. Innych nazwisk, niestety, nie pamiętam.

Uchwalonej rezolucji dokładnie nie pamiętam, a przeto zacytuję ją według książki B. Waśniewskiego p. t. „Byt i warunki pracy robotników w przemyśle cukrowniczym Królestwa Polskiego", wydanej w 1911 r.

Oto treść historycznego dokumentu:

„Żądania ogólne robotników cukrowni Królestwa Polskiego, opracowane na urządzonych przez Polską Partję Socjalistyczną Zjazdach delegatów wszystkich cukrowni".

1. Dzień roboczy wszystkich robotników ma trwać 8 godzin we wszystkich oddziałach, zarówno podczas kampanji, jak i w ciągu roku. Podczas kampanji należy zaprowadzić trzy zmiany we wszystkich oddziałach, gdzie produkcja trwa dzień i noc. Ze względu jednak na trudności natychmiastowego zaprowadzenia 3 zmian, dopuszczamy podczas kampanji bieżącej

pracę dłuższą tam, gdzie to jest konieczne, pod warunkiem, że fabryki natychmiast przystąpią do przygotowania dodatkowego personelu dla 3-ciej zmiany na przyszłą kampanję.

2. Praca dodatkowa (pofajerantowa) dozwolona będzie tylko w razach wyjątkowych i ma być podwójnie płatna. Za pracę w święta i niedziele płaca ma być również podwójna.

3. Płace wszystkich robotników stałych i niestałych mają być podwyższone, jak następuje:

a) Zarabiający 60 kop. dziennie otrzyma podwyżkę 30% (30 kop. dodatkowo na każdy rubel zarobku).

b) Zarabiający do rubla dziennie otrzyma podwyżkę 20%.

c) Zarabiający ponad rubla dziennie otrzyma 15% podwyżki.

Żaden robotnik jednak nie może otrzymać mniej niż 55 kop. dziennie, a kobieta 35 kop. dziennie.

4) Praca na akord i system gratyfikacji mają być skasowane.

5. Wszyscy stali robotnicy mają otrzymać:

a) zdrowe mieszkanie z opałem, familijni — oddzielnie dla każdej rodziny, a kawalerowie mogą mieszkać po kilku razem;

b) deputat cukru najmniej 5 funtów miesięcznie;

c) utrzymanie dla dwuch krów;

d) wszyscy robotnicy i ich rodziny otrzymać mają bezpłatną pomoc lekarską i lekarstwa. Robotnicy stali otrzymują podczas choroby cały lon.

6. Przy cukrowniach należy założyć kasy przezorności z udziałem robotników w zarządzie, przyczem robotnikowi, ustępującemu z fabryki należy wypłacić cały fundusz A. i B.

7. Żądamy bezpłatnych szkół z kursem 2-klasowym i dobrym personelem nauczycielskim, oraz doktora dla wszystkich dzieci robotników. **Wykład ma być prowadzony w języku polskim.** Poza tem mają być założone czytelnie i bibljoteki z udziałem robotników w Zarządzie.

8. Łaźnia ma być dostępna dla wszystkich robotników przynajmniej raz na tydzień.

9. Fabryki mają dostarczyć lokal z urządzeniem dla sklepów spożywczych, zakładanych przez robotników.

10. Rewizja osobista robotników ma być zniesiona, natomiast robotnicy ustanawiają własną kontrolę wzajemną.

11. Żądamy grzecznego obchodzenia się z robotnikami i robotnicami. Mówienie ty i w trzeciej osobie nie jest dopuszczalne.

12. Wszelkie nieporozumienia, wynikłe pomiędzy Zarządem, a robotnikami, rozstrzyga sąd polubowny, składający się z delegatów robotniczych i administracji w równej liczbie. Bez decyzji sądu nikt z robotników nie może być wydalony.

13. Administracja gwarantuje nietykalność delegatów robotniczych.

14. Wypełnienia żądań powyższych oczekujemy w przeciągu dni 7-miu. Nowe warunki umowy mają być w formie kontraktu podpisane przez delegatów robotniczych i administrację fabryczną.

Warszawa, w październiku 1905 r.

Żądania te były we wszystkich cukrowniach przed rozpoczęciem kampanji podane dyrektorom przez delegatów, których przeważnie było trzech, wybranych przez ogół robotników. Żądania te były specjalnie pisane na maszynie, dla każdej poszczególnej cukrowni oddzielnie.

Oprócz tych ostatecznych żądań i poprzednich kwestjonarjuszy, PPS. wydała odezwę strajkową, w której było omówione położenie ogólne robotników cukrownianych.

Delegaci rozjechali się do domów i na cukrowniach rozpoczęła się żywa agitacja za tem, by przed kampanją stanowczo zdobyć wszystkie te żądania, które opracowała konferencja warszawska. Z pośród robotników stałych prawie każdy otrzymał odezwę PPS., nawołującą do zdecydowanej walki o swą godność człowieka, o znaczną poprawę bytu dla siebie i rodzin.

Akcja w okręgu lubelskim.

W **okręgu lubelskim** cała prawie walka skoncentrowała się w cukrowni Lublin, której dyrektorem był wówczas p. **Broniewski** i w której robotnicy byli najlepiej zorganizowani i uświadomieni.

Gdy robotnicy złożyli dyrektorom swoje żądania — o ile mnie pamięć nie myli — tylko w cukrowni „Zagłoba" przyszło do ostrego zatargu, podczas którego robotnicy wywieźli dyrektora na taczce za bramę. P. Kleniewski, właściciel cukrowni i kilku folwarków, zagroził, że cukrownia będzie zamknięta, a burakami spasie woły. Jednak panowie właściciele i dyrektorzy cukrowni okręgu lubelskiego szybko się ze sobą porozu-

mieli i zaproponowali robotnikom zgodę pod warunkiem, że wszyscy dadzą te same warunki, które da cukrownia Lublin.

Po namyśle daliśmy polecenie, by robotnicy godzili się na tę propozycję i kampanję wszędzie rozpoczęli. P. Kleniewski też się zgodził i w „Zagłobie" rozpoczęła się praca pod nowym dyrektorem.

Strajk w cukrowni „Lublin".

W lubelskiej cukrowni kampanja się już rozpoczęła, a dyrektor ciągle wynajdywał przeszkody w przyjęciu żądań, wystawionych przez robotników. Pięciu delegatów codzień do niego chodziło, a dyrektor ciągle zwlekał. Po 7-miu dniach robotnicy dali jeszcze dzień do namysłu, a gdy i w tym dniu żądania ich nie zostały podpisane przez dyrektora, rozpoczął się stopniowy strajk, poczynając od pierwszej stacji, który w ciągu 24 godzin rozciągnął się na wszystkie stacje. Cukrownia stanęła, ale delegaci pilnowali, żeby podczas zatrzymania biegu pracy cukrownia nie została narażona na straty z winy robotników.

Rozpoczęła się walka na śmierć i życie. Trzeba było zachować dużo taktu i zimnej krwi, a najwięcej — ostrożności przed prowokacją, której spodziewaliśmy się niechybnie.

W pierwszych dniach strajku dyrektor udawał obojętnego, a jego zausznicy zaczęli ostrożnie rozpuszczać słuchy, że buraki zostaną sprzedane, a cukrownia zamknięta. Zawrzała wewnętrzna walka wśród robotników. Jedni przekonywali drugich, zwalczali plotki i utwierdzali we wszystkich przekonanie, że zwycięstwo będzie po stronie walczących, tylko trzeba zachować spokój, pewność siebie, całkowitą solidarność i wytrwałość w walce.

Zostałem w Lublinie i wziąłem na siebie kierownictwo akcją strajkową. Codziennie widywałem się raz lub dwa z którymkolwiek z delegatów. Na wszelki wypadek jednemu z delegatów, najbardziej zaufanemu, dałem swój adres, by w nagłej potrzebie mógł przyjść do mnie. Warunki spotykania się mego z delegatami były bardzo utrudnione, bo za wszelką cenę chciano mnie aresztować i dlatego mieszkania robotnicze były stale otoczone szpiclami, którzy w biały dzień pod różnymi pretekstami zaglądali do izb robotniczych.

Po pięciu dniach przyjechało do cukrowni kilku brzuchatych panów — „kupców", których p. Broniewski oprowadzał po fabryce, pokazywał olbrzymie składy buraków i niby pertraktował o sprzedaży całego majątku.

Zrobiłem ogólne zebranie i krótko wyjaśniłem robotnikom, żeby się nie denerwowali, że jesteśmy na dobrej drodze, bo dyrektor szuka sposobu zastraszenia, a gdy się przekona, że robotnicy nie boją się, poprosi delegatów i umowę podpisze.

Po tych oględzinach znów przeszło kilka dni, a strajk trwał w zupełnym spokoju. Pewnego wieczora, może po 10 już dniach strajku, przyszedł do mnie delegat z wiadomością, że strajk się załamał, że robotnicy jutro chcą iść do roboty, bo wszystkie kobiety, żony robotników, płaczą i stanowczo domagają się od mężów, by poszli do pracy. W nocy około 11-ej poszedłem do cukrowni i wezwałem wszystkich robotników, by się zebrali w lasku za cukrownią.

Z zachowaniem wszelkich ostrożności zebraliśmy się w ciemną noc w lasku, gdzie najpierw towarzysze opowiedzieli mi następującą historję, która tak zaniepokoiła wszystkie kobiety.

Dyrektorskie kawały.

Otóż dyrektor, jak to zwykle bywa, zajmował dość obszerny, oddzielny dom. Miał lokaja, kilkoro służby i pokojówkę. Pan dyrektor kłócił się ze swą żoną w momencie, gdy pokojówka znajdowała się w pokojach. Kłótnia miała za tło strajk. Dyrektorowa stała po stronie strajkujących, ze względu na głód, zimno i niedostatek, które cierpią żony i dzieci robotnicze i wzywała męża, aby się nie upierał, lecz ruszył cukrownię. Dyrektor wymyślał natomiast na robotników, jako na zbrodniarzy, którzy sami skazują swe rodziny na głód, jako na głupców, słuchających jakiegoś żydka, który im każe nie wierzyć jemu, panu dyrektorowi. Wreszcie zaklinał się, że nie może dać takiej podwyżki, a jak chcą trzymać z żydami, niech cierpią. Nie pomogły prośby dalsze dyrektorowej, która powoływała się na prośby żon robotniczych, aby ona się u męża za dziećmi wstawiła, — dyrektor uparł się, krzyczał, że nie zgodzi się, aby nim żydzi rządzili, wreszcie ukląkł przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i w ataku histerji przysiągł, że nie ustąpi przed terorem i fabrykę zamknie. Pokojówka zaraz po wyjściu od dyrektorowej pobiegła do kobiet i opowiedziała im wszystko, co słyszała i widziała, dodając naturalnie od siebie trochę. W mieszkaniach robotniczych powstał lament i wzburzenie. Kobiety o niczem nie chciały słyszeć, żadne perswazje świadomych robotników nie pomagały, więc pod naporem swych żon robotnicy zaczęli ustępować i decydowali się iść do roboty.

Po wysłuchaniu tego opowiadania, starałem się przekonać towarzyszy, aby nie wierzyli w prawdziwość przysiąg dyrektora, jeżeli wogóle miało to miejsce. Dawałem przykłady łamania przysięgi przez osoby panujące: królów, carów, generałów — gdy tylko chodziło o oszukanie ludu. W danym wypadku panowie akcjonarjusze cukrowni użyli fortelu, bo w bitwie walczy się i zwycięża nietylko bronią, ale i podstępami.

Towarzysze - robotnicy, jako ludzie uczciwi i szczerze wierzący, nie mogli sobie uprzytomnić, żeby to mogła być komedja z tą przysięgą, tak świetnie wyreżyserowana przez akcjonarjuszy, a odegrana przez dyrektora cukrowni Lublin, p. Broniewskiego. Robotnicy znali mnie jednak i cieszyłem się ich bezgranicznem zaufaniem, dali się więc przekonać i obiecali, że na ten nowy kawał też się wziąć nie dadzą. Zapewniłem ich, że mają za sobą całą partję PPS. W imieniu tej partji wezwałem ich do wytrwania, bo gdyby nawet cukrownia została zamknięta, to partja wszystkimi się zaopiekuje i nikogo skrzywdzić nie pozwoli.

Zebrani przyrzekli, że nazajutrz nikt do roboty nie pójdzie, że wytrwają w walce aż do zwycięstwa, że bez mojej zgody strjak przerwany nie będzie. Zebranie skończyło się dobrze po północy. Poszedłem na nocleg do jednego z robotników, mieszkających przy cukrowni.

Wygrany strajk.

Już blisko dwa tygodnie minęły, a strajk trwał w całej rozciągłości, w harmonijnej jedności i solidarności. Po dwuch dniach od owej komedji z przysięgą, kiedy dyrektor przekonał się, że i ten niezwykły kawał nie załamał solidarności robotników, wezwał do siebie delegatów. Oświadczył im, że obronił interesy robotników przed akcjonarjuszami, którzy wreszcie zgodzili się i upoważnili go do podpisania umowy, w myśl życzeń robotniczych, bez zmian i poprawek. Umowa zatem może być natychmiast podpisana, obowiązywać będzie od Nowego Roku (do którego zostało kilka tygodni), gdyż wprowadzenie jej w życie zaraz jest niemożliwe ze względów buchalteryjnych itd. Delegaci postanowili się co do tego ostatniego warunku porozumieć z robotnikami i zapowiedzieli dyrektorowi, że dadzą później odpowiedź. Mimo namowy p. Broniewskiego, nie chcieli zaraz podpisać umowy, czem znów bardzo rozgniewali dyrektora.

Zaraz też przybiegł do mnie jeden z delegatów i na wstępie zawołał: „Towarzyszu, zdobyliśmy pełne zwycięstwo".

Gdy mi jednak szczegółowo przedstawił całą rozmowę, odpowiedziałem, że umowy inaczej podpisać nie mogą, jak z warunkiem, że zacznie obowiązywać od chwili podpisania.

Tymczasem robotnicy tak się już cieszyli zgodą dyrektora, że musiałem iść na zebranie delegatów, aby ich przekonać, że zastrzeżenie dyrektora jest niemożliwe do przyjęcia. Gdy mu to delegaci oświadczyli, dyrektor okropnie się rozgniewał, nawymyślał im, że ich więcej nie uznaje i rozmawiać z nimi już nie będzie, lecz zawezwie wszystkich robotników, celem wysłuchania ich opinji.

Jeszcze tegoż dnia wieczorem robotnicy zostali zawiadomieni, by wszyscy zebrali się jutro przed kantorem o godz. 9-ej rano. Poszedłem również na to zebranie, przebrany trochę za robotnika, t. j. w butach, kurtce i kaszkiecie, ale z rewolwerem w ręku. Przyszedłem trochę wcześniej, bo chciałem być obecny od początku. Byłem ostrożny, bo wiedziałem, że dyrektor żywi do mnie nienawiść, boć po każdem mojem zebraniu dowiadywał się, co też robotnikom mówiłem. Gdy mu robotnicy powiedzieli, że nie jestem żydem, jak mnie łaskawie nazywał, odpowiedział: wszystko jedno, jeżeli sam nie jest żydem, to żydów słucha i jest parobkiem żydowskim, bo socjaliści, to żydzi, a ich ojciec Marks też był żydem. Oto cała mądrość pana dyrektora...

Kilka minut po 9-tej dyrektor wyszedł na ganek i wezwał robotników, by się przybliżyli, więc otoczyli go zwartem kołem. Skorzystałem z tego i stanąłem przy samych schodach wejściowych. Dyrektor zaczął od tego, że żądania robotników całkowicie popiera, że na zebraniu akcjonarjuszy wywalczył zgodę na ich podpisanie, bo już patrzeć nie może na nędzę robotników. Umowę zaraz podpisze, ale delegaci nie dbają o robotników i upierają się, aby umowa weszła zaraz w życie. Niechże mu zawierzą, jako Polakowi i katolikowi, z którym razem do jednego kościoła chodzą i do jednego Boga się modlą, że ze względów praktycznych i prowadzenia ksiąg, umowa ta może obowiązywać dopiero od Nowego Roku, do którego zostało przecież zaledwie kilka tygodni. Więc zapytuje, czy zgadzają się, aby umowa, która znacznie poprawi ich zarobki i byt, obowiązywała od 1-go stycznia 1906 r.

W odpowiedzi na to pytanie nastąpiła grobowa cisza, a oczy robotników zwrócone były na mnie. Poprosiłem o głos. Dyrektor zapytał, jak się nazywam, odpowiedziałem: „Mikołaj". Dyrektor popatrzył na mnie i widocznie doszedł do prze-

konania, że nie jestem taki straszny, jak sobie mnie wyobrażał, więc odparł: „proszę".

Przemówiłem mniej więcej w ten sposób:

„Panie Dyrektorze. Jeżeli Pan mówił o nędzy, chłodzie i głodzie robotników szczerze, to niech Pan się zgodzi podpisać żądania robotnicze, które mają im ulżyć w ciężkiej ich niedoli. Pan Dyrektor zaznaczył, że jest dobrym Polakiem i katolikiem, robotnicy też są dobrymi Polakami i katolikami, i ja, przedstawiciel PPS., też jestem Polakiem, a religji nie chcę do tej walki mieszać, bo uważam ją za świętą i prywatną rzecz każdego wierzącego. Zresztą religja katolicka uczy nas kochać bliźniego swego, jak siebie samego i nie czynić bliźniemu swemu tego, co samemu jest niemiłe. Stwierdzam zatem, że niema żadnych przeszkód do podpisania przez pana dyrektora umowy z robotnikami. Ani w buchalterji, ani w książkowości niema takich przeszkód również, któreby musiały odroczyć wejście w życie umowy. Panie Dyrektorze, bądźmy szczerzy, robotnicy walczą przecież tylko o ludzkie warunki życia i postawili tak skromne żądania, że nie odstąpią od nich na jotę. Jeżeli Pan naprawdę chce dobrze żyć ze swymi pracownikami i strajk zakończyć, to niech Pan się zgodzi na wszystkie żądania i nie przeciąga sprawy ze szkodą dla robotników i cukrowni. Jeżeli bowiem strajk się przedłuży, robotnicy wystawią żądanie zapłacenia za czas zwłoki, powstałej nie z ich winy. Apeluję do Pana, aby się Pan nie upierał, bo robotnicy się zdecydowali wytrwać do zwycięstwa".

Zapanowała znów cisza, wszyscy patrzyli na dyrektora, a on po krótkim namyśle wyciągnął do mnie rękę na zgodę, zaś robotnikom głośno powiedział: „To nie wyście ten strajk wygrali, a ten pan Mikołaj"... Odpowiedziałem: „Nie, Panie Dyrektorze, to solidarność i świadomość robotników osiągnęła zwycięstwo".

Pożegnałem się z dyrektorem i delegatami, którzy poszli do kantoru podpisać umowę, zmieszałem się w tłumie robotników i ostrożnie ulotniłem się.

Muszę nadmienić, że chociaż w tej zawziętej walce z robotnikami dyrektor używał różnych kawałów, to jednak nie splamił się wzywaniem do pomocy carskiej policji, żandarmów i szpicli, jak to uczynił p. Kleniewski, właściciel cukrowni „Zagłoba", o czem dalej szczegółowiej opowiem.

Cała akcja odbyła się w ramach zatargu ekonomiczne-

go. Nie przypominam sobie, by ktokolwiek był wówczas aresztowany z winy administracji. Owszem szpicle się kręcili, ale bez wskazówek ze strony zarządu cukrowni. Wygrany strajk w Lublinie pociągnął za sobą zwycięstwo w całym okręgu lubelskim.

Wśród robotników w cukrowni Lublin było kilkunastu bardzo energicznych i oddanych idei towarzyszy. Niestety, nie pamiętam nazwisk. Gdy wracałem z Syberji do kraju, w dalekiej ziemi Mandżurskiej, w cukrowni „Aszyche", oddalonej o godzinę drogi od Charbina, spotkałem towarzyszy, znanych mi z akcji strajkowej w Lublinie. Ogromnie ucieszyliśmy się z tego spotkania, a wspomnieniom o strajku w cukrowni, kawałach dyrektora, o walce partyjnej i rewolucyjnej nie było końca.

W końcu listopada 1905 r. musiałem uciekać z Lublina po dniach wolnościowych, w czasie których rozkonspirowałem się bardzo przemawianiem na wielkich zgromadzeniach publicznych, zwoływanych przez PPS. Od wyjazdu z okręgu lubelskiego, straciłem bliższy kontakt z powstającą w cukrowniach organizacją zawodową, ale od czasu do czasu miałem wiadomości o postępie w organizowaniu Związku Zawodowego Robotników Cukrowni.

W okręgu płockim.

W okręgu Płockim, do którego przyjechałem z Lublina, zaraz nawiązałem stosunki, najpierw w cukrowni **Borowiczki, Mała Wieś,** a potem w cukrowniach: **Ciechanów, Izabelin, Krasiniec, Ostrowite** i na końcu dopiero w **Sannikach.**

W **Borowiczkach** zastałem już koło członków PPS., do którego należeli tow. tow.: Koźbiał Franciszek, Szymkowiak Tomasz, Ciszewski Wawrzyniec, Kalinowski Wacław i wielu innych. Na zebraniu konspiracyjnem opowiedziałem towarzyszom o przebiegu strajku w cukrowni Lublin i o zdobyczach, jakie osiągnęli robotnicy w całym okręgu lubelskim.

Nie pamiętam już dobrze, kiedy i w jakim czasie przemawiałem na masówce w tej fabryce podczas zmiany. Byłem również z delegatami u dyrektora, w sprawie podpisania żądań robotniczych. Słowem, towarzysze w Borowiczkach energicznie pracowali nad wprowadzeniem nowych warunków płacy i pracy. Przytaczam tutaj dokument z książki B. Waśniewskiego o nowych warunkach pracy w cukrowni Borowiczki.

„Warunki dla pracowników w Tow. Akc. Cukrowni Borowiczki.

1. Dzień roboczy wszystkich pracowników po skończeniu bieżącej kampanji co do ilości godzin trwać będzie, jak w cukrowni Lublin.

2. Płaca robotników stałych podnosi się od dn. 16 grudnia 1905 r. w stosunku do płacy, pobieranej przed kampanją r. b., w sposób następujący: zarabiającym do 60 kop. — 30%; zarabiającym do rubla dziennie — 20%; zarabiającym wyżej rubla dziennie — 15%. Robotnikom niestałym podnosi się płaca dzienna na kampanję bieżącą o 5 kop. w stosunku do płacy, pobieranej przed 16 grudnia 1905 r. Ilość robotników stacyjnych pozostaje bez zmiany.

3. Praca dodatkowa oraz praca w święta i niedziele liczona będzie po kampanji podwójnie.

4. Kary pieniężne od pracowników pobierane nie będą.

5. Lokal na założenie sklepu udziałowego otrzymają pracownicy najpóźniej w dn. 1 lipca 1906 r.

6. Stali pracownicy otrzymywać będą: mieszkanie, jak dotąd, 25 korcy węgla i ½ sążnia drzewa rocznie, 5 funtów cukru miesięcznie, zamiast ziemi — 20 rb. na kartofle jednorazowo, cztery cetnary słomy rocznie i utrzymanie dla 2 krów przez cały rok z odwożeniem do obór. Kawalerowie otrzymywać będą połowę powyższego.

7. Szwajcarzy, stróże i fornale pobierać będą zapłatę miesięczną od 15 do 25 rb., korzystając z deputatu, wyszczególnionego w p. 6. Fornale będą otrzymywać strawne, jak dotąd.

8. Stałym robotnikom służy prawo do korzystania w ciągu roku z 12-dniowego urlopu.

9. Rewizja osobista zniesiona, natomiast robotnicy obowiązani są do wzajemnego kontrolowania się.

10. Wszelkie spory i nieporozumienia między urzędnikami lub stałymi robotnikami z jednej, a Zarządem z drugiej strony, oprócz kwestji, przewidzianych w punkcie 17, będą rozstrzygane zamiast przez sądy państwowe, przez sądy rozjemcze, składające się z czterech arbitrów, wybieranych po dwuch z każdej strony, z możnością obierania na arbitrów: robotników, urzędników, członków Zarządu, lub też osób postronnych.

Wybierani arbitrzy obiorą piątego na superabitra, a tym sposobem utworzony Sąd Rozjemczy, czyli Polubowny, będzie wyrokować ostatecznie i bezapelacyjnie większością głosów.

Przy utworzeniu dwuch zdań i gdyby zdanie nie miało trzech głosów, przewagę otrzyma zdanie, za którem głosuje superarbiter. Jeżeli co do wyboru osoby superarbitra zgoda nie nastąpi, to każda strona przedstawia swojego kandydata na superarbitra, pomiędzy którymi odbędzie się losowanie. Gdy na skutek wynikłego sporu sprawa urzędnika lub stałego robotnika oddaną zostanie pod rozpatrzenie Sądu Rozjemczego, Zarząd lub Dyrekcja będzie miała prawo urzędnika lub stałego robotnika usunąć od sprawowania obowiązków. Sąd Rozjemczy mocen będzie jedynie przyznać wynagrodzenia za wyrządzoną szkodę lub odmówić przyznania wynagrodzenia, lecz nie będzie miał prawa do zobowiązania Zarządu lub Dyrekcji do ponownego przyjęcia wydalonego pracownika.

11. Począwszy od 1 lutego r. b. wprowadzoną zostanie kasa przezorności z udziałem pracowników w Zarządzie kasy.

12. Wszystkim pracownikom i ich rodzinom służy prawo do korzystania z porad lekarskich, apteki i szpitala fabrycznego. W celu udzielania porad przyjeżdżać będzie do fabryki doktór raz w tygodniu, w oznaczonym dniu i godzinie, a niezależnie od tego — na każde zapotrzebowanie. Oprócz tego zapewnia się stałą pomoc akuszeryjną.

13. Za czas choroby któregokolwiek z pracowników, zaświadczonej przez lekarza, fabryka wytrącać nie będzie.

14. Szkoła zostanie wprowadzone w życie w styczniu 1906 r.

15. W celu utworzenia bibljoteki i czytelni, fabryka zobowiązuje się zaprenumerować kilka pism i zakupić odpowiednią ilość książek w ciągu bieżącego miesiąca.

16. Urzędnicy otrzymają kontrakty pisemne, w których wyłuszczone będą: zakres obowiązków każdego urzędnika oraz wynagrodzenie pieniężne i w naturze, zapewnione przez Zarząd.

17. Uwolnienie urzędnika podczas kontraktu bez przyczyny i przewinienia, o ile z takowym została zawarta umowa o wynagrodzeniu rocznem, może nastąpić nie inaczej, jak za czteromiesięcznem naprzód wypowiedzeniem posady urzędnikowi, a w razie uwolnienia urzędnika bez przyczyny i przewinienia i bez zachowania tego terminu, Zarząd obowiązany będzie do wypłacenia urzędnikowi pieniężnego wynagrodzenia za cztery miesiące do pobieranej rocznej pensji. Uwolnienie robotnika stałego bez przyczyny i przewinienia może nastąpić nie inaczej, jak za 6-ciotygodniowem naprzód wypowiedzeniem za-

jęcia robotnikowi, w razie uwolnienia robotnika bez przyczyny i przewinienia i bez zachowania tego terminu, Zarząd obowiązany do wypłacenia robotnikowi wynagrodzenia pieniężnego za całe 6 tygodni, stosownie do pobieranej płacy.

18. Fabryka obowiązuje się do 1 lipca r. b. urządzić łaźnię parową, dla wszystkich dostępną przez cały rok.

19. Płaca pracowników przy jednakowem zajęciu będzie zrównana.

20. Warunki niniejsze nie dotyczą osób, godzonych tylko na czas kampanji.

21. W razie ponowienia strajku ze strony pracowników, warunki niniejsze przestają obowiązywać Zarząd.

22. Do końca bieżącej kampanji praca w święta i niedziele będzie wynagradzana podwójnie.

Borowiczki, dn. 21. XII — 1905 r."

Należy dodać, że podczas walki robotników o poprawę bytu w cukrowni Borowiczki urzędnicy byli w ścisłym kontakcie z robotnikami za pośrednictwem chemika inż. Iwanowskiego i sympatyzujących z ruchem wyzwoleńczym P. P. S. innych urzędników, jak Jordan Włodzimierz i Zawadzki.

Wyniosłem jaknajsympatyczniejsze wspomnienia z tego okresu mej pracy w cukrowni Borowiczki. Panowała tam serdeczność i solidarność iście braterska, oraz umiejętność konspiracyjnej pracy.

Powstanie organizacji zawodowej.

Latem 1906 r. odbyła się w cukrowni Borowiczki konferencja okręgowa z całego okręgu partyjnego P. P. S. Ze wszystkich miejscowości, gdzie mieliśmy tylko nasze koła partyjne, przybyli delegaci i w zupełnym spokoju i bezpieczeństwie zapewnionem obradowali cały dzień. Towarzysze miejscowi nakarmili i ugościli delegatów po przyjacielsku.

Zdaje się, że zaraz po strajku, a raczej od początku 1906 r., zaczęła się w Borowiczkach rozwijać organizacja zawodowa robotników cukrowni. Robotnicy otrzymali tymczasowe książeczki członkowskie, a Zarząd Związku miejscowego koła prowadził konspiracyjnie swe prace.

Jako okręgowiec prowadziłem przedewszystkiem robotę partyjną, organizacyjno - polityczną. Ale przy tej pracy jednocześnie pomagałem robotnikom w cukrowniach prowadzić pracę zawodową. Byłem dwa razy w cukrowni Mała Wieś, gdzie

odbyły się w mieszkaniach robotników konspiracyjne zebrania. W dniu 2 lutego (co przypadało zdaje się w niedzielę) miało się odbyć w cukrowni większe zebranie, coś w rodzaju wiecu. Odbyło się ono w niezwykłych warunkach, więc opowiem tutaj o przyczynach tego wielkiego zgromadzenia.

Wyjechałem z **Płocka** w przeddzień, by po drodze do Małej Wsi załatwić sprawy organizacyjne w naszych partyjnych placówkach. 1-go lutego wieczorem 1906 r. przyjechałem do Bodzanowa z zamiarem odbycia wieczorem zebrania partyjnego, na którem mieliśmy omówić plan zorganizowania na drugi dzień wiecu publicznego po wyjściu ludzi z kościoła. Trafiłem jednak do Bodzanowa b. nieszczęśliwie, bo miałem adresy tylko do dwuch towarzyszy. Jeden z nich, tow. mechanik (miał swój warsztat na ulicy, prowadzącej w stronę cukrowni **Mała Wieś**), leżał chory na tyfus, więc niedługo tam zabawiłem, bo był prawie nieprzytomny i nie mógł mi udzielić żadnych adresów. Poszedłem więc do apteki, gdzie prowizorem był nasz towarzysz. Kupiłem jakiś proszek, bo towarzysza nie zastałem i zapytałem o niego właściciela apteki. Odpowiedział, że wyjechał do narzeczonej do pobliskiego folwarku i że napewno rano jutro przyjedzie z całą rodziną narzeczonej do kościoła. Widocznie aptekarz (bojowy endek) znał przekonania swego prowizora i domyślił się, że ja także jestem socjalistą, bo zaczął mnie wypytywać i prosić, bym został na herbacie i przenocował w pokoju nieobecnego towarzysza. Zdecydowałem się przyjąć zaproszenie, bo naprawdę nie wiedziałem do kogo pójść, chociaż w Bodzanowie mieliśmy dużą organizację.

Nie przyznałem się z początku aptekarzowi, ale już późno w nocy powiedziałem mu, że jutro będę przemawiał na wiecu publicznym na rynku, gdy ludzie wyjdą z kościoła. Pokazałem mu przytem brauning, który miał mi służyć, gdyby policja chciała mnie aresztować.

Towarzysz przyjechał nazajutrz dość późno, namówił mnie, abym z nim, jego narzeczoną i jej rodziną poszedł do kościoła, gdzie zapewne spotkamy towarzyszy **z Bodzanowa** i **Małej Wsi.**

Poszedłem, prowizor poznał w kościele jednego z towarzyszy, którego poprosiłem, aby przygotował jakieś krzesełko albo taboret, jako „mównicę" dla mnie. Towarzysz ten szybko porozumiał się z innymi.

Po wyjściu z kościoła szybko pożegnałem się z narze-

czoną towarzysza, poczem głośno wezwałem wychodzących ludzi, aby się zatrzymali, gdyż chcę im obwieścić ważną nowinę.

Zgromadzenie publiczne.

Zdecydowałem się na odbycie takiego publicznego zgromadzenia na usilne prośby miejscowych towarzyszy, albowiem endecy przedtem urządzili wiec z białemi chorągwiami patrjotyczno - religijnemi i wymyślali bardzo na socjalistów, nazywając nas bandytami. Towarzysze chcieli się zrewanżować w pochodzie z czerwonym sztandarem, aby wykazać, że nie jesteśmy bandytami, ale rewolucjonistami, walczącymi o niepodległość narodu i lepszą przyszłość ludu roboczego. Był to krok ryzykowny, ale towarzysze zapewniali, że w **Bodzanowie** jest wszystkiego trzech policjantów, którzy nie będą mieli odwagi nas zaczepić.

Stanąłem na krzesełku, ludzie otoczyli mnie kołem, a ja, zdjąwszy czapkę, mimo mroźnej pogody, zacząłem swoje przemówienie od walk ludu polskiego o niepodległość, najpierw pod wodzą Tadeusza Kościuszki, który wyzwolił chłopów z niewoli pańszczyźnianej. Dalej o wojnie wojska polskiego w 1831 r., a ostatnio 1863 r., gdy Rząd Narodowy znów rozpoczął walkę zbrojną z najazdem i ogłosił wolności obywatelskie dla całego narodu. Dziś znów stajemy do walki o niepodległość narodową, o lepsze jutro dla całego ludu pracującego. Słyszeliście pewnie, że w dużych miastach, jak Warszawa, Łódź, lud roboczy występuje z bronią w ręku przeciwko tyranom moskiewskim i wszelakim gnębicielom. Ten miejski lud roboczy, to wasi bracia rodzeni, zmuszeni opuścić wioski i osady i udać się do miast do pracy w fabrykach i warsztatach. W miastach zorganizowali się pod wodzą Polskiej Partji Socjalistycznej i za swoje godło bojowe obrali czerwony sztandar, na którym wypisali hasło: Niepodległa Polska Ludowa...

W tym momencie mego przemówienia jakiś drab rzucił się na mnie z grubym kijem, wołając: „Bić go, to żyd, to socjalista, nie potrzebujemy czerwonych, mamy nasze białe sztandary z Królową Korony Polskiej, Matką Boską Częstochowską"... Powstał silny zamęt, tłum zafalował, ale zaledwie kilka rąk podniesionych odgrażało się, lecz nie mogło mnie dosięgnąć, bo masa robotników i chłopów otoczyła mnie zwartem kołem, nie pozwalając nikomu zbliżyć się do mnie. Ja zaś—z całą energją wystąpiłem przeciwko tym „prawdziwym Polakom" i opanowałem sytuację, używając całej mocy słowa dla napiętnowania wstrętnej roli tych „narodowych patrjotów". Pano-

wie endecy pod wodzą miejscowego rzeźnika Wierzbińskiego, nieco się usunęli, wyparci od trybuny. Lecz wnet przypuścili ponowny atak, pchając zgromadzonych. Fala uderzyła na mnie, zrzucając mnie z krzesełka, które zostało połamane w kawałki. „Do studni tego żyda, utopić go, za pieniądze żydów chce naszej zguby, do studni go, utopić go" — ryczała nieustannie tłuszcza ogłupiałych endeków. Od miejsca, z którego przemawiałem do studni było 60 lub więcej kroków, a endeków była tylko garstka, zwłaszcza z porównaniu z masą, która początkowo zachowała się biernie, lecz wnet oparła się, nie dając się spychać ku studni. Przez cały czas tego zamieszania, pchania się i krzyków, starałem się przemówić, ale głosu nie było słychać, a także nie widać mnie było z poza otaczających mnie olbrzymich chłopów.

Już przy samej niemal studni oparli się mocno i podnieśli mnie na rękach. Wówczas najsilniejszym głosem wezwałem najpierw oszalałych endeków do uspokojenia się, zawstydzając ich, że jeszcze carat na naszej ziemi, a oni już chcą dokonać samosądu. Wskazałem im na chłopów, którzy opodal wyjmowali kłonice z wozów i zbroili się w orczyki. Pokazałem im także swój rewolwer i powiedziałem: „Widzicie, to jest śmierć, ale tylko dla moskiewskich siepaczy, przeciw Wam, Polacy i katolicy, tej broni użyć nie chcę, bo krew polska jest mi droga. Wam przebaczam — albowiem nie wiecie i nie rozumiecie, co chcieliście uczynić. W niewoli moskiewskiej Wasze dusze zostały przeżarte jadem nienawiści do czerwonego sztandaru. I Wy, towarzysze robotnicy i chłopi odłóżcie Waszą broń, aby się nie splamić przelewem bratniej krwi..."

Przyniesiono nowe krzesełko, wypożyczone z pobliskiego sklepu żydowskiego, który wraz z innemi jeszcze przed chwilą był zamknięty. Ktoś ze zgromadzonych poprosił mnie, bym wyjaśnił, jaka jest różnica pomiędzy czerwonym sztandarem a białym. W czasie odpowiedzi zapytałem, czy kto z towarzyszy nie ma sztandaru. Przynieśli wkrótce na zwyczajnej tyczce kawał czerwonego płótna, na którym kredą było napisane z jednej strony: „Niech żyje P. P. S.", a z drugiej: „Precz z najazdem, niech żyje rewolucja!" Z wielką miłością mówiłem wtedy o prostym i takim biednym, a dla nas, robotników i chłopów, tak niezmiernie drogim, bo naszą własną krwią zbarwionym, czerwonym sztandarze...

Grupa zacietrzewionych endeków prawie zrejterowała. Nieliczni wysłuchali już w spokoju mego przemówienia. Zdala stał również ksiądz w gronie swych przyjaciół i słuchał uzasad-

nienia programu polskiego ludu pracującego pod sztandarem P. P. S.

Wiec zakończyły entuzjastyczne okrzyki tłumu. Nastrój został wywołany znakomicie i widać było, że sympatje ogółu zostały zdobyte dla wielkiej idei socjalistycznej.

Grono obywateli zapraszało mnie na obiad, ale towarzysze z **Małej Wsi** prosili, bym zaraz z nimi odjechał do cukrowni. Nie pamiętam nazwisk tych obywateli, którzy prawie siłą uprowadzili mnie do siebie na obiad. Był to rzeźnik, który miał sklep z wyrobami masarskiemi. Do jego domu odprowadziła mnie masa ludzi, czekając, aż się posilę i tworząc jakby wartę przed ewentualnem przyjściem policji. Gospodarz (w obecności towarzyszy z cukrowni, którzy mnie już nie odstępowali) przyznał się, że dotychczas należał do tajnego koła patrjotycznego, ale od dziś całą duszą będzie z nami.

By zmylić czujność szpicli, wysłaliśmy konie z kilku towarzyszami daleko poza miasto i tam dopiero wsiedliśmy. Wieczorem przybyliśmy do cukrowni MałaWieś, zacierając za sobą wszelkie ślady.

W dość dużej sali, w zabudowaniach fabrycznych, odbyło się ogólne zebranie wszystkich robotników, pracujących w cukrowni. Przyjechało również sporo okolicznych włościan i obywateli ziemskich. Administracja i urzędnicy przybyli w komplecie z dyrektorem na czele. Wśród robotników panowało silne wzburzenie z powodu zachowania się rzeźnika Wierzbińskiego i endeków na moim wiecu w Bodzanowie, o czem wieść urosła tu do olbrzymich rozmiarów. Okazało się bowiem, że Wierzbiński był dostawcą mięsa i wędlin dla wszystkich pracowników cukrowni.

Wygłosiłem na tem zebraniu referat polityczny, poczem zabrał głos jeden z ziemian, endek. Prosiłem wszystkich zgromadzonych, by go w spokoju wysłuchali. Pan ten potępił zachowanie dzikiej bandy z Bodzanowa, która chciała dopuścić się mordu nademną. Następnie mówił o jedności narodowej, o wspólnej walce ze wspólnym wrogiem — rządem najezdniczym, o miłości do ojczyzny, o używaniu wszędzie w urzędach języka polskiego i t. d. Wreszcie wezwał do jedności, by wszystkiemi siłami wypędzić wroga.

Podczas przemówienia tego pana przyjrzałem się lepiej audytorjum: Sala była przepełniona tłumem robotniczym. Wśród kobiet odróżniały się od ogółu panie dyrektorowe oraz żony ziemian.

Z kolei zabrał głos jeden z robotników i w sposób bardzo ostry wezwał wszystkich robotników, by jak przyjedzie Wierzbiński, spuścić mu należyte lanie, bo jeśli chciał bić i utopić naszego towarzysza i wzywał tłum do dokonania mordu, trzeba go nauczyć, że jeśli nie chce po chrześcijańsku kochać bliźniego swego, trzeba mu oddać po żydowsku oko za oko, ząb za ząb.

Przemówiłem ostatni, więc najpierw prosiłem towarzyszy, żeby się nie ważyli ani skrycie ani otwarcie wywierać zemsty na głupim endeku. Zemsta to zły doradca. „Powiedzcie mu tylko, że moglibyście się zemścić, ale tego nie zrobicie, gdyż Wam Wasze sumienie socjalistyczne nie każe wprowadzać bratobójczej walki do zmagań się z caratem". Śmiercią karać możemy tylko zdrajców i sprzedawczyków, którzy pomagają wrogowi za judaszowe srebrniki lub z miłości do moskiewskiego rządu, a Wierzbiński działał z głupoty. W dalszym ciągu przemówienia odpowiedziałem swemu przedmówcy — endekowi, że niema i nie może być jedności narodowej takiej, jaką on sobie wyobraża. Jest walka klasowa. Klasa robotnicza musi prowadzić walkę z klasą posiadających, z burżuazją. W walce politycznej o Niepodległość i Wolność obywateli pomoc żywiołów szczerze demokratycznych zawsze serdecznie powitamy. Ale nasze ideały polityczne i społeczne będą dla nas drogowskazem w dalszej walce o ich urzeczywistnienie.

Zebranie zostało zakończone w atmosferze niebywałego napięcia i entuzjazmu.

Przyjęcie u pp. dyrektorstwa.

Państwo dyrektorstwo urządzili przyjęcie, więc zgodziłem się na zaproszenie z warunkiem, że pójdą ze mną dwaj towarzysze. Ponieważ wódki nie piłem, więc kilka godzin zeszło nam na delikatnej polemice z panami obszarnikami. Pamiętam, jak jeden z tych panów ubolewał nad tem, że niema jedności i zrozumienia dla wielkich spraw, i wykazywał, że on inaczej rozumie narodową demokrację, niż jego koledzy w mieście, którzy piszą tylko drażniące artykuły w prasie. Mam wrażenie, że w czasie tej pogawędki panowie endecy zrozumieli, iż P. P. S. jest poważną partją polityczną i ma wielkie odczucie wśród szerokich mas pracujących.

Nie pamiętam już dobrze, czy zmianowy czy wicedyrektor był jeśli nie naszym towarzyszem, to sympatykiem. Zdaje się, że nazywał się Lewandowicz; pewnem jest, że w wielu wypadkach udzielał pomocy robotnikom.

Bywałem u niego w mieszkaniu, a poznałem go w jednej z cukrowni okręgu lubelskiego. Z pośród robotników, bardzo energicznych ówczesnych działaczy, członków partji i organizatorów Związku zawodowego pamiętam z cukrowni Mała Wieś następujących towarzyszy: Kłoniecki Feliks, „Sękowski", Ulmer Władysław, Tormanowski Wawrzyniec, Walczewski Ignacy, Bartnikowski Adam, Piątkiewicz Stanisław, Pieścik Paweł, Cieślak Władysław, Rządkowski Antoni, Adamowski Józef, Jasiński Franciszek, Wiśniewski Adolf, Wiśniewski Feliks, Makowski Józef, Czajkowski Ignacy, Jóźwiak Antoni, Dobrowolski Kazimierz, Sierosławski Feliks i inni.

Gdy siedziałem w Tobolskiej katordze, otrzymałem korespondencję od towarzyszy z cukrowni Mała Wieś przez towarzyszkę Sękowską, a także parę razy przysłali mi do katorgi po kilka rubli.

Muszę tutaj dodać, że ów Wierzbiński, niewinnie posądzony o zabójstwo policjanta w okolicach Gąbina, został skazany przez sąd wojenny na karę śmierci przez powieszenie. Donieśli mi o tem towarzysze do katorgi, wskazując na los tego człowieka, który chciał mnie topić w studni, a sam zginął niewinnie z rąk carskich siepaczy...

Cukrownia Ciechanów.

Miałem adres do jednego z robotników, który mieszkał niedaleko cukrowni, ale nie w domach fabrycznych, tylko w jakimś drewnianym budynku niedaleko przejazdu kolejowego. Podczas obiadu umówiłem się z nim, by wieczorem po skończonej pracy, przygotowali ogólne zebranie w obrębie fabryki. Zebranie takie odbyło się i wkrótce zawiązała się organizacja polityczna P. P. S. i zawodowa. Niestety żadnych nazwisk nie pamiętam, choć byłem tam kilka razy, raz na dużem zgromadzeniu przemawiał przybyły ze mną tow. Felek. Na I Zjeździe z cukrowni Ciechanów byli delegatami tt.: Michał Dalman i Antoni Walczykowski. Członków Związku było 54. Na II Zjeździe delegatami byli tt.: Walisiewicz Franciszek i Dudczak Władysław, a do Związku należało 54 osoby. Czynnym członkiem był tow. Pieńkowski. Gospodarz Cukrowni był przychylnie dla nas usposobiony. Pewnego razu wypożyczono mi konia z bryczką na wyjazd do cukrowni Izabelin, oddając mi ją do dyspozycji na stacji kolejowej, gdzie oczekiwałem z towarzyszem u urzędnika kolejowego tow. Moroza.

Nim opowiem o bytności naszej w Izabelinie, muszę tutaj stwierdzić, że towarzysze cukrownicy pomagali bardzo wy-

datnie do założenia organizacji partyjnej w mieście. Między komitetem płockim, a naszą pracą partyjną w samym Ciechanowie i w cukrowni była łącznikiem tow. Helena Sicińska, nauczycielka w Ciechanowie, która w Płocku miała rodzinę, bardzo nam oddaną.

Cukrownia Izabelin.

Już przedtem byłem raz w Izabelinie i nawiązałem z robotnikami stosunki organizacyjne. Teraz towarzysze byli uprzedzeni o moim przyjeździe na pół godziny przed ukończeniem pracy. Konia z bryczką zostawiliśmy pod opieką miejscowych towarzyszy, a raczej ich żon, bo prawie wszyscy robotnicy wzięli udział w zebraniu. Wszyscy się zgadzali zapisać do Związku i założyć koło P. P. S., ale szło to jakoś opornie. Cukrownia Izabelin dopiero na III Zjazd wydelegowała swych przedstawicieli, tt.: Koprowskiego i Kuca. Przypominam sobie jednego towarzysza, który miał więcej odwagi, niż inni, co wykazał już, gdy byłem po raz pierwszy w Izabelinie. Nazwiska nie pamiętam, utkwiło mi tylko, że żona jego była akuszerką i że u nich wówczas nocowałem.

W Izabelinie panowały inne zgoła niż wszędzie warunki, jakieś niemal archaiczne stosunki, wszystko razem przypominało wielki folwark. Hasła rewolucyjne i ideały robotnicze docierały tutaj ze znacznem opóźnieniem. Dostęp do cukrowni był utrudniony, ponieważ znajdowała się na odludziu, chociaż przy szosie ciechanowskiej.

Po odbytem zebraniu i odebraniu przyrzeczenia od robotników, że zajmą się pracą organizacyjną, zjedliśmy kolację i dobrze po północy ruszyliśmy wraz z towarzyszem, który prowadził robotę w Ciechanowskiem, naszą bryczką w powrotną drogę. Jechaliśmy powoli, bo wedle umowy mieliśmy na stację przybyć wczesnym rankiem, gdzie miał czekać służący po odbiór konia z bryczką. Po lewej stronie szosy ciągnął się wielki las. W pewnym momencie usłyszeliśmy okropny krzyk ludzki. Przygotowaliśmy rewolwery do strzału i podcięliśmy konia, by pośpieszyć z pomocą.

Okazało się, że przed nami jechała duża fura z naciągniętem na pałąkach płótnem nad siedzeniami, t. zw. „frakta". Jacyś bandyci napadli na pasażerów i zabrali wszystko, co się tylko dało wziąć. Biedni handlarze żydowscy podnieśli krzyk dopiero, gdy bandyci oddalili się. Pojechaliśmy więc dalej z rewolwerami w rękach. Po ujechaniu dwuch kilometrów natknęliśmy się na bryczkę i wóz z policją. Starsi policjanci po-

znali naszą bryczkę z cukrowni, więc nie legitymowali nas, tylko wysłuchali o napadzie bandytów. Gdy jechaliśmy do Izabelina, spotkaliśmy dwuch drabów na brzegu lasu, ale nie zaczepili nas. Teraz strażnicy powiedzieli nam, że ich właśnie poszukują.

Przyjechaliśmy szczęśliwie na stację, oddaliśmy konia z bryczką, a sami poszli na śniadanie do tow. Moroza.

Cukrownia Krasiniec.

Byłem tu dwa razy. I tutaj — podobne stosunki, jak w Izabelinie, ale robotnicy jakoś więcej rozgarnięci, odważniejsi i chętniejsi do pracy organizacyjnej.

Za pierwszym razem odbyło się zebranie daleko poza cukrownią, na polu obok jakiegoś kopca. Na zebranie to przybyła masa ludzi, bo oprócz robotników z cukrowni, także robotnicy z okolicznych folwarków i sporo włościan. Było też dwuch studentów, którzy po zebraniu zaofiarowali mi swoje usługi na rzecz partji.

Wszyscy słuchali w wielkiej ciszy i skupieniu. Twarzy nie widziałem, bo było już ciemno, a tylko od czasu do czasu dochodziły mnie ciężkie westchnienia tej zwartej w sobie masy ludu. Mam wrażenie, że w ów pamiętny wieczór ludzie ci po raz pierwszy słyszeli o wielkiej wojnie, którą prowadziła PPS. o lepszą dolę dla ludu roboczego, o wolność i niepodległość całego narodu polskiego. Pierwszy raz jaśniej i zrozumialej dowiedzieli się o programie PPS., o zasadach socjalizmu, o walce klasowej.

Jesienią byłem drugi raz z tow. „Jankiem" (Majewski—krawiec z Warszawy). Gdyśmy wynajętą furmanką przejeżdżali przez obszary księcia-pana Czartoryskiego, widzieliśmy na pniu sczerniałą pszenicę nieuprzątniętą. Setki hektarów zmarnowanego zboża, bo robotnicy rolni wystawili swoje żądania podczas żniw, gdyż wiosną strajk się nie udał, więc teraz powtórnie zastrajkowali. Walka szła na śmierć i życie, robotnicy solidarnie trzymali się przez kilka tygodni. Nie zastraszyły ich prześladowania i groźby. Strajk jednak nie został wygrany, bo Czartoryski wolał ponieść ogromne straty, niż uwzględnić skromne żądania robotników, które jednak uwzględnili okoliczni obszarnicy. Opowiadali mi wówczas robotnicy, że ten książę miał 9 kamienic w Warszawie, więc mógł się narazić na straty, ale postawił na swojem i „przed chamami nie ustąpił". Trzeba dziś przypomnieć takim „Polakom", jak to pa-

nowie kochają swych żywicieli, gdy ci solidarnem wystąpieniem chcą poprawić swoją ciężką dolę niewolnika jaśnie-pańskiego.

Zgromadzenie urządziliśmy wtedy obok fabryki przy drodze w pobliżu domku naszego towarzysza. Zgromadzeni stali przy sztachetkach, a ja przemawiałem po drugiej stronie ogrodzenia. Przed rozejściem się zabrał jeszcze głos tow. „Janek" i podczas jego przemówienia **panowie urządzili prowokację.** Było już dobrze szaro. Ktoś z administracji cukrowni i folwarku strzelił z jednej i z drugiej strony naszego zgromadzenia, a w pewnem oddaleniu przejechało kilku panów na koniach. Umówiony jakiś prowokator zaczął krzyczeć: „Kozacy jadą — uciekajta ludzie!" Zrobił się szalony zamęt, znów ktoś krzyknął: „uciekajta ludzie!", więc cała wielka masa, pchana z tyłu, runęła na sztachetki i parła naprzód, zabierając mnie i „Janka" jak na grzbiecie fali. Ponieważ słychać było tętent koni, więc parto wciąż naoślep. Gdy dobiegli do jakiegoś głębokiego rowu i skąpali się w nim, zaczęli wołać na następujących, aby się zatrzymali, bo wszyscy się pomoczą. Trudno jednak było utrzymać wystraszoną masę: skakali przez rów, ale i tak wielu się skąpało. Towarzysze nasi krzyczeli, aby się wszyscy wrócili, bo niema żadnych kozaków, ani policjantów, tylko prowokacja. Zaraz też zebraliśmy się u jakiegoś gospodarza, gdzie wydałem zarządzenie miejscowym towarzyszom, aby natychmiast zbadali teren i koniecznie dowiedzieli się, kto urządził tę prowokację. Jeden z towarzyszy zaprowadził nas gdzieś w bezpieczne miejsce na nocleg. O świcie przyszli towarzysze i potwierdzili, że to panowie z folwarku i cukrowni urządzili haniebną prowokację.

Wyjechaliśmy inną drogą (nie na Ciechanów), by się nie natknąć na zawiadomioną już policję. Jeden z robotników z cukrowni Ciechanów opowiedział mi potem, że rano przyjechała do Krasińca spora paczka policji i cały dzień szukano nas po domach.

Na II Zjeździe robotników cukrowni z Krasińca był obecny tow. Kosikowski Stanisław. Pozatem — nie pamiętam nazwisk.

Cukrownia Sanniki.

Za pierwszym razem przybyłem tu wczesną wiosną. Przyjechałem przed południem i podczas obiadu umówiłem się z towarzyszami co do odbycia zgromadzenia w obrębie fabryki. W cukrowni pracowało wówczas około 1000 ludzi.

Czekałem u jednego z towarzyszy aż do 6-ej, t. j. do godziny, na którą był umówiony wiec. Bolał mnie ząb, a raczej dziąsło, gdzie zebrała się ropa. Towarzyszka — żona robotnika, chcąc mi ulżyć w tym bólu, poszła do sąsiadek, które doradziły, bym sobie wziął parę kropli „expelleru" (jakiś uniwersalny środek leczniczy) i przyłożył do chorego miejsca. Wkładając do ust watę z tym expellerem, oparzyłem sobie wargi, które w parę minut tak mi spuchły, że nie mogłem ust otworzyć. Miałem zamiar odwołać zgromadzenie, ale i na drugi dzień nie mogłoby się już odbyć, bo za wiele ludzi wiedziało o mojej bytności w Sannikach. Towarzysze bardzo prosili, by jednak wiecu nie odwoływać, a choć parę słów powiedzieć, a gdy wszyscy zobaczą, w jakim znajduję się stanie, nie będą mieli do mnie żalu. Trudno, musiałem się zgodzić. Okazało się, że gdy zacząłem mówić, opuchlizna powoli ustępowała, a ja coraz swobodniej mogłem poruszać ustami.

Zebranie trwało blisko dwie godziny, a zeszło się na nie także sporo miejscowej inteligencji. Odczuwało się entuzjazm zgromadzonych, ogromna większość robotników czuła się serdecznie związana z P. P. S. Ścisłe grono towarzyszy, dobrze zakonspirowane, było w ścisłym kontakcie z Okręgowym Komitetem w Płocku, a potem w Kutnie, prowadząc systematyczną robotę organizacyjną.

Po zebraniu ogólnem zeszło się kilku zaufanych towarzyszy — członków partji. Postanowiono utworzyć kilka piątek bojowej organizacji z pośród młodzieży robotniczej. Z nazwisk pamiętam tylko, że do jednej piątki należało trzech braci Zamojskich. Wogóle zaś w Sannikach było bardzo wielu dzielnych i ideowych działaczy.

Kiedyś latem przyszedłem do Sannik wieczorem. Jakieś pół kilometra od osady natknąłem się na grupę 50-ciu ludzi, którzy odbywali ćwiczenia wojskowe pod komendą instruktora bojowej organizacji. Był to dla mnie miły widok, ale jednocześnie zwróciłem uwagę kierownikom, by robili to więcej konspiracyjnie, a nie tak jawnie, prawie publicznie.

Ostatnim razem byłem w Sannikach z tow. Felkiem. Przypominam sobie, że tow. Felek przeprowadzał wówczas jakieś dochodzenie wśród robotników i administracji z oskarżenia przeciwko pp. Natansonom — właścicielom cukrowni i okolicznych folwarków, w sprawie podejrzenia doniesienia policji o strajkujących robotnikach rolnych. Wtedy były masowe aresztowania robotników folwarcznych. Było również i woj-

sko. W każdymbądź razie była to dla pp. Natansonów sprawa b. ważna, bo groziła jednemu z nich karą śmierci, według ostrzeżenia C. K. R. przed strajkiem rolnym.

Tow. Felek załatwiał tę sprawę z ramienia C. K. R., a obecnym przy wyświetleniu tej sprawy był pomocnik mechanika tow. Fr. Lewandowski, od którego obecnie dowiedziałem się, że na odbytem wówczas posiedzeniu zostało stwierdzone, że pp. Natansonowie wtedy nie zwracali się o pomoc do carskiej władzy przeciwko robotnikom. Że oddział wojska z policją grasował w całym powiecie i tam, gdzie był strejk w folwarkach, to policja przy pomocy wojska zmuszała robotników do pracy, a jeśli się robotnicy opierali, następowały masowe areszty.

Przez naszą bojową organizację zabici zostali stójkowy Grabarczyk w Sannikach i wachmistrz Bury w Gąbinie.

Udało mi się obecnie zebrać wiadomości, że do bojówki w Sannikach między innemi należeli tow. tow. Stanisławski Władysław, Czajkowski Stan., Bracia Wiśniewscy i Kowalski.

Na pierwszym legalnym Zjeździe z Sannik byli delegatami od 270 zorganizowanych robotników związku tt.: Józef Furmanek, Jan Furmanek, Józef Gajewski, Piotr Jodłowski i Józef Rybarczyk.

Cukrownia Ostrowite.

Zdaje mi się, że najmniej pamiętam życie i działalność naszych towarzyszy w tej cukrowni, bo też byłem tam tylko dwa razy, a może najwyżej trzy. Była tu grupa towarzyszy oddanych sprawie, którzy prowadzili zarówno pracę organizacyjną, jak i zawodową, komunikując się z organizacją w Sierpcu. Na I Zjeździe Zw. Zaw. Rob. cukrowni tt.: Józef Kuczyński i Stanisław Sierpiński reprezentowali 51 członków tamtejszego Związku, zaś w okresie drugiego Zjazdu członków było 58, a delegatami byli tt.: Chodkowski Juljan i Stasiński Tomasz. Pamiętam również tow. Martynę, który brał żywy udział w pracy miejscowej.

OKRĘG KUTNOWSKI.

W powiecie Sochaczewskim miałem dwie cukrownie: Młodzieszyn i Hermanów. W obu istniały początki organizacji, więc mojem zadaniem było je rozszerzyć i postawić na mocnych fundamentach.

W cukrowni Hermanów zaraz po pierwszej mojej bytności utworzyło się ściślejsze koło partyjne ze starszych towarzyszy, którzy mieli za zadanie wciągnąć wszystkich robotni-

ków do organizacji zawodowej, zaś konspiracyjnie urabiać młodzież do organizacji bojowej. Po paru tygodniach, gdyśmy byli już organizacyjnie dość silni, pojawili się esdecy i z całą energją chcieli pociągnąć robotników do swej organizacji, obrzucając P. P. S. najdzikszemi wyzwiskami i oskarżeniami. Towarzysze wysłali swego delegata do Sochaczewa, aby się porozumiał z partją i zostawił wezwanie do mnie, bym jaknajprędzej przyjechał do Hermanowa na publiczną dyskusję z esdekiem, który twierdził, że P. P. S. boi się esdeków, jak djabeł święconej wody.

W najbliższą niedzielę pojechałem do Hermanowa i odbyłem generalną dyskusję z biednym esdekiem na wiecu publicznym. Było to na podwórzu jednego z domów, gdzie mieszkali robotnicy. Nie będę szczegółowo omawiać treści dyskusji z esdekiem, bo wszystkie one były do siebie podobne: P. P. S. — to socjal-patrjoci, a więc pachołki burżuazji i szlachty, którym jest potrzebna Polska, żeby w niej panowali, a robotnika nadal trzymali w niewoli, wyzyskiwali i t. p.

Wyjaśniłem zebranym w dość pokaźnej liczbie robotnikom całą głupotę i obłudę rozumowania tego częstochowskiego agitatora esdeckiego. Przeczytałem pewne ustępy z ich pisma „Czerwony Sztandar" i z pism endeckich, gdzie jedni i drudzy członków naszej bohaterskiej bojowej organizacji nazywali bandytami i rozbójnikami. Przykładami dowiodłem, że organizacja zawodowa nie może być partyjną, a musi pozostać bezpartyjną, lecz klasową, bo inaczej każda partja chciałaby mieć swoje odrębne związki, a robotnicy zamiast walczyć z wyzyskiem, zwalczaliby się wzajemnie, pozostając nadal w niewoli kapitalizmu i t. d. i t. d.

Wiec został zakończony całkowitem naszem zwycięstwem, bo robotnicy naocznie przekonali się, że nietylko się nie boimy stanąć oko w oko z esdekami, ale że idea P. P. S. żyje w sercach robotników, zwłaszcza bardziej uświadomionych i wyrobionych. Praca nasza została po tym wiecu spotęgowana, wszyscy prawie robotnicy należeli do bezpartyjnego związku zawodowego, a równocześnie znacznie się wzmocniła organizacja partyjna.

Na zeszłorocznym zjeździe jeden z towarzyszy podał mi nazwiska ówczesnych działaczy z Hermanowa, którzy byli pionierami ruchu, a mianowicie: Wyszkowski Bolesław, Wąsiewicz Bronisław, Wyszkowski Wincenty, Maciaszek Jakób, Kawecki Kazimierz, Tyter Wincenty, Tyter Józef, Królik Henryk, Kruk Jan — bojowiec, Szczepański Franciszek — zabity

w wieku l. 19, Jetcer Maks — bojowiec, Romanowski Władysław — rozstrzelany w Sochaczewie, Nędza — też rozstrzelany w Sochaczewie, Grejber Józef — kolejarz z Pruszkowa, uciekł ranny, rozstrzelany w Sochaczewie, Engelkind Wacław— bojowiec.

Na I Zjeździe delegatem był tow. Zdoliński Wincenty.

Cukrownia Młodzieszyn.

W Sochaczewie powstało kółko esdeckie z miejscowym organistą na czele. Robili oni wypady do cukrowni Młodzieszyn i do folwarku. Gdy po raz pierwszy przyjechałem, towarzysze opowiadali, że był tu już jakiś „demokratyczny socjalista", zostawił im gazetkę „Czerwony Sztandar" i dużo różnych broszur. Wymyślał na P. P. S., ale przyparty do muru przez towarzyszy, nie umiał należycie wyjaśnić, dlaczego potrzebna jest ich nowa partja, skoro już istnieje P. P. S.

Pewnego razu zetknąłem się z tym apostołem esdeckim na zgromadzeniu w sali strażackiej przy cukrowni. Byłem już uprzedzony, że esdek szykuje się do polemiki ze mną, więc w przemówieniu swem celowo poruszyłem najbardziej niemiły dla esdeków temat: ich ciężkie błędy taktyczne i programowe. Sala była przepełniona robotnikami, ich rodzinami oraz t. zw. inteligencją. Na szereg pytań ten „agitator" nie znalazł odpowiedzi, więc przemówienie jego przyjęte zostało z politowaniem. Ani jeden głos nie opowiedział się za esdekami, a wiec zakończył się całkowitym naszym tryumfem.

Po wiecu odbywało się w ścisłem gronie zakonspirowane zebranie u jednego towarzysza (zdaje się Zamojskiego), na którem omawiano sprawy partyjne i organizacyjne. Już zebranie się skończyło i tylko co zacząłem jeść kolację, gdy przyszedł jeden z towarzyszy i oznajmił, że jakieś wojsko przyjechało na koniach z zamiarem otoczenia domów robotniczych i dokonania rewizji. Powoli spokojnie towarzysze rozeszli się, a mnie postanowiono przeprowadzić do tow. Buczyńskiego, który mieszkał prawie że w lesie.

Noc była strasznie ciemna, a my z tow. Wojciechem Majewskim szykowaliśmy się do drogi przez pola. Najpierw natknęliśmy się na jakiś wóz, który z trudem ominęliśmy, a tow. Majewski, jako niby dobrze znający drogę, miał mnie w zupełnem bezpieczeństwie doprowadzić do lasu. Trzymaliśmy się za ręce i tak prawie po omacku posuwaliśmy się bardzo powoli naprzód, w zupełnej ciszy. W pewnym momencie aniżeśmy się spostrzegli, gdy wpadliśmy do szerokiego rowu, napełnionego

wodą po kolana. Zmoczeni, zbrudzeni i zgrzani, a w dodatku na mylnej drodze (żaden rów nie był przewidziany), odpoczęliśmy trochę. Nauczeni gorzkiem doświadczeniem, stąpaliśmy dalej już ostrożniej. Jak długo trwała ta wędrówka, trudno mi powiedzieć, dość, że byłem mocno wyczerpany, gdyśmy wreszcie dotarli do upragnionej izby. Przy słabem światełku lampki wycisnęliśmy wodę z ubrań, a tow. Feliks Buczyński ulokował nas na nocleg. Natychmiast mocno zasnąłem i nazajutrz nie widziałem się już z tow. Majewskim, który wstał wcześniej, by iść do pracy. Ja zaś spałem dłużej i dopiero przed wieczorem udałem się w dalszą drogę.

Jeszcze raz widziałem się z towarzyszami z cukrowni Młodzieszyn na konferencji okręgowej w Łowiczu.

Towarzysze znajomi z tamtych „bajecznych" czasów podali mi nazwiska robotników, którzy najwięcej udzielali się wówczas robocie organizacyjnej, zarówno politycznej jak i zawodowej, mianowicie: tt. Zatorski Franciszek, Sejka Jan, Winnicki Józef — siedział pół roku na Pawiaku, Rządkowski Antoni, Paul Józef, Dybus Franciszek, Zatorski Antoni, Cieślak Antoni, Piędrek Michał — siedział 9 miesięcy na Pawiaku, Trojanowski Adam, Siekiera, Chłystek Jan, Gorzkiewicz Franciszek, Penkowski Piotr, Górecki Franciszek, Kołaciński Michał — przywoził bibułę z Sochaczewa, Kołaciński Jan, Drzeźbicki Jan, Paulowa Bronisława oraz tow. Jankowski.

Cukrownia Łyszkowice.

W powiecie Łowickim miałem tylko jedną cukrownię Łyszkowice, do której często chodziłem spacerkiem z Łowicza. Mieliśmy tam oddawna organizację partyjną, którą opiekował się tow. Krzemiński Walerjan (Dobek), nauczyciel miejscowy. Znaczny wpływ na robotników miał jednakże b. sympatyczny buchalter cukrowni, tow. Leffler, a raczej małżonkowie Leffler. Zebrania ogólne odbywały się w większych mieszkaniach robotniczych, czasem u tow. Lefflerów, zaś posiedzenia Komitetu — przeważnie u tych ostatnich. Komitet robotniczy stanowili wówczas nie członkowie wybierani, lecz uznani przez ogół towarzyszy, jako najwięcej godni zaufania w liczbie trzech. Praca partyjna, zawodowa i kulturalno - oświatowa rozwijała się coraz lepiej.

Utkwiły mi w pamięci dwa duże zgromadzenia publiczne w dni niedzielne. Było to latem, w południe niedzielne. Sporo ludzi zebrało się za Łyszkowicami na łące przy dużym stogu siana.

Byli to robotnicy z cukrowni, folwarku, osady i z okolicznych wiosek. Podczas przemówienia zrobiło mi się niedobrze, musiałem przestać mówić i oprzeć się o siano. Wśród zebranych nastąpiła konsternacja, bo nie wiedzieli, co mi się stać mogło. Najbliższym towarzyszom powiedziałem, że jestem b. głodny, bo nie miałem czasu i możności zjeść cośkolwiek dotąd. Pobiegli zaraz i przynieśli mi mleka, kawy i herbaty. Napiłem się tylko mleka i wiec ten zakończyłem ślubowaniem wszystkich, że będą pracować wedle swoich sił i możności nad rozbiciem caratu, zdobyciem Niepodległości i lepszej doli dla ludzi pracy.

W drugim wypadku zawiadomili mię towarzysze, że w najbliższą niedzielę ma się odbyć wiec przed kościołem w pobliskiej parafji, na którym ma przemawiać endek - obszarnik, Grabski. Zdecydowaliśmy, że na tym wiecu również zabiorę głos po przemówieniu p. Grabskiego. W niedzielę rano przyszedłem do Łyszkowic, dowiedziałem się jednak, że wiecu nie będzie, ponieważ w Pszczonowie zebrała się masa wojska na koniach. Niektórzy towarzysze mieli rowery, jeździli więc z Łyszkowic do Pszczonowa, aby wiedzieć, co się tam dzieje. Do Łyszkowic przyszło sporo ludzi, a zatem rozpoczęliśmy wiec, i tym razem na łące wśród stogów. W pewnym momencie przyjechał tow. na rowerze i powiedział mi do ucha, że w stronę Łyszkowic jadą dragoni z Pszczonowa. Powiedziałem jeszcze parę słów i poprosiłem zgromadzonych, by się w spokoju rozeszli, a jak wojsko przejedzie, to wiec zakończymy. Na te słowa kilku tchórzliwszych kmiotków chwyciło poły sukman do rąk i rzuciło się do ucieczki we wszystkie strony, nie wiedząc z której ma nadjechać wojsko. Ogromna większość zachowała się z godnością, zawstydzając przestraszonych, którzy śmiesznie wyglądali, biegnąc z połami sukman w rękach, i oglądając się na pozostałych robotników. Po godzinnej przerwie wiec przy mniejszym udziale zebranych zakończyliśmy.

Z robotników, czynnych wówczas, podano mi następujące nazwiska: tt. Bobrowski Stefan, Taczanowski Stanisław, Taczanowscy — matka i ojciec, Lipner Józef, Sadowski Rajmund, Barański Bazyli, Baszkiewiczowa Florentyna, Janakiewiczowa, Płoszajski Wincenty, Jagiełło Walenty, Hipolit Bogusz, Ludwik Zemełko, Mieszczyński i inni.

Tow. Leokadja Kowalska, bardzo czynna jako działaczka partyjna, przez pewien czas prowadziła ochronkę fabryczną dla dzieci, poza tem poświęcała dużo czasu na robotę kulturalno-oświatową wśród towarzyszy. Była aresztowana i 3 miesią-

ce siedziała w więzieniu. Taczanowski St. siedział pół roku, a Krzemiński nauczyciel też trzy miesiące siedział.

Do Łyszkowic przyjeżdżał też często nauczyciel tow. Kowalski do swej rodziny, więc też prowadził agitację wśród znajomych robotników.

TT. Lefflerowie mieszkali w małym oddzielnym domku drewnianym, który zajmowali w całości, dlatego też przez pewien czas domek ten służył nam jako punkt zborny. Wspominam tu tt. Lefflerów bardzo mile, bo naprawdę w tamtejszych czasach dodawali dużo energji swemu otoczeniu.

Na pierwszy Zjazd Zw. Zaw. byli delegowani tt.: Sadowski i Bogus. Na następnych Zjazdach Łyszkowice nie miały swych przedstawicieli. Widocznie zaszły jakieś przeszkody lub organizacja się rozpadła.

POWIAT KUTNOWSKI.

Najwięcej może cukrowni skupiło się w tym powiecie. Ruch rewolucyjny był tutaj silniejszy i większa ilość robotników stała pod sztandarami P. P. S. Tętno życia gospodarczego — żywsze. Dużo śmiałości, odwagi i bohaterskiego poświęcenia. Tu naprawdę robotnicy mieli w swoich rękach wszystkie nici roboty konspiracyjnej.

Cukrownia Konstancja.

Położona, jak w Lublinie, blisko stacji kolejowej. Robotnicy jednak mniej uświadomieni i zorganizowani, niż w Lublinie. Zaledwie z kilku towarzyszami można było się komunikować i to w wielkiej tajemnicy przed ogółem robotników. Byłem już w Kutnie parę razy, a w cukrowni nie udawało mi się urządzić większego zebrania. Poprostu robotnicy nie przychodzili ze strachu na oznaczone miejsce, choć przyrzekali, że przyjdą. Pewnego razu w porozumieniu z kilku towarzyszami z naszej organizacji w Kutnie, postanowiliśmy zrobić masówkę podczas wyjścia robotników z pracy o 6-tej lub 7-mej wiecz., by taką śmiałą drogą przyzwyczaić robotników do solidarnego zgromadzania się i obrony swych interesów. Poszliśmy z tow. „Jankiem" (wówczas powiatowcem, t. j. prowadzącym robotę na powiecie) z brauningami w kieszeniach do Konstancji; tow. Janek miał za zadanie ochronę zewnętrzną przed często kręcącymi się koło cukrowni żandarmami stacyjnymi, ja zaś miałem zatrzymać wychodzących robotników i wygłosić do nich odpowiednie przemówienie.

Wstyd mi dziś to wspominać, ale prawdę trzeba powiedzieć nawet niemiłą: Gdy wezwałem robotników, by zatrzymali się na terenie fabrycznym na zebranie, na którem będę przemawiał, to zaledwie paru się zatrzymało. Ogromna większość poszła z pomrukiem i drwinami do tuż obok położonych mieszkań w domach fabrycznych. Jakże przykro było patrzeć na brak zrozumienia, ciemnotę, sklerykalizowanie i strach przed panami tych biednych, wynędzniałych rzesz robotniczych. Postanowiłem jednak nie ustąpić i zacząłem przemawiać na podwórku między domami robotniczemi. Po paru minutach zaczęli wychodzić z mieszkań robotnicy, ich żony i dzieci, a po kwadransie zebrała się już dość znaczna grupa. Napiętnowałem ich obojętność dla własnej niedoli i wskazałem, jak to w innych cukrowniach i prawie we wszystkich fabrykach robotnicy garną się do organizacji, solidarności i zrozumienia potrzeby walki o lepsze jutro dla siebie i całej klasy robotniczej. Zebranie to zakończyliśmy w przekonaniu, że lody zostały przełamane i organizację założymy. Wśród kilkudziesięciu robotników znalazło się kilku, którzy zobowiązali się pracować systematycznie nad założeniem związku zawodowego.

Na I Zjeździe od 22 zorganizowanych w związku delegatem był t. Wacław Mańkowski. Na II Zjeździe od 74 członków — t. Władysław Filipiak. Na następnych zjazdach, niestety, nie znalazłem już delegatów z cukrowni Konstancja.

Cukrownia Sójki.

Oddalona od Kutna o 5 km. przy szosie do Gostynina i Płocka. Stosunki w tej cukrowni były znacznie lepsze, niż w Konstancji, ale uświadomienie robotników nieco powierzchowne. Byłem parę razy na zebraniu ściślejszem, pozatem odbyły się dwie masówki na terenie fabrycznym po wyjściu robotników z fabryki. Prawie wszyscy robotnicy należeli do związku.

Na I Zjeździe byli delegatami tt.: Krysiak Józef i Białecki Antoni od 55 zorganizowanych członków związku. Na II Zjeździe od 59 członków — tt.: Miszel Michał i Brudnicki Józef. Po drugim Zjeździe robotnicy wskutek obojętności i braku zrozumienia potrzeby organizacji, a także wskutek braku energicznych jednostek, zaprzestali płacić składek i w ten sposób związek zniszczyli.

Muszę tu jeszcze wymienić tow. Kowalskiego, u którego w owych czasach nocowałem. Przypominam sobie także wielu bardzo sympatycznych towarzyszy, choć nazwisk nie mogę przytoczyć.

Cukrownia Strzelce.

Przy tej samej szosie od Kutna na 10-ym kilometrze. Panował tu zupełnie inny duch. Przedewszystkiem muszę odrazu na wstępie wymienić zacną rodzinę towarzyszy Szubertów, oddanych wielkiej naszej sprawie pepesowej. Do Strzelec zawsze chętnie spieszyłem, bo w domu t.t. Szubertów czułem się, jak w odwiedzinach u swej kochanej matki. Tow. Szubertowa, mając kilkoro dorastających dzieci, traktowała mnie również jak swoje dziecko. Także w gronie robotników cukrowni czułem się nietylko jako towarzysz wśród towarzyszy, ale — bliżej, serdeczniej, jak w rodzinie; taki już nastrój panował w Strzelcach.

Odbyły się dwa wiece na terenie cukrowni, zaś zebrań ściślejszych było znacznie więcej, niż w którejkolwiek innej cukrowni.

Nocowałem najczęściej u tow. Lipskiego, starszego robotnika. Nie będę się silił na przypominanie sobie nazwisk, gdyż prawie wszyscy w tym czasie czuli się zbratani, jak jedna wielka rodzina. Czy to tow. Osądowski, Lipski, Szubertowie, Feliniak, Tobert czy też inni.

Młodzież wyrabiała się na przyszłych działaczy w szeregach klasy robotniczej. Paru towarzyszy siedziało w więzieniach carskich za pracę oświatową i polityczną wśród robotników. Tow. Osądowski po zdobyciu Niepodległości natychmiast z gronem towarzyszy zabrał się do pracy i w przeciągu paru tygodni zorganizował na terenie powiatu Kutnowskiego i sąsiednich Zw. Zaw. Rob. Rolnych.

Na I Zjeździe Rob. cukrowni, Związek w Strzelcach miał zorganizowanych 71 członków, a delegatami byli: t.t. Adam Feliniak i Stanisław Szubert. Na VIII Zjeździe w 1914 r. byli delegatami t.t.: Osędowski i Feliniak, przyczem tow. Feliniak został wybrany do Komisji Rewizyjnej.

Specjalnie przy Strzelcach wspominam z rozrzewnieniem początki naszej świętej walki o lepsze jutro dla klasy robotniczej i o niepodległość polityczną, bo jasno stoi mi przed oczyma ogrom entuzjazmu, ofiarności, odwagi i głębokiego przekonania w prawość swoich ideałów, — jakie wtedy rozpierały piersi robotników i biły blaskiem z ich oczu. Po każdem zebraniu ożywiała się wiara i rosło parcie do szybkiego pozbycia się kajdan niewoli carskiej i kapitalistycznej.

Cukrownia Łanięta.

Oddalona od Kutna o 16 km., mniej więcej o tyleż od Krośniewic. Otoczona wokoło wielką własnością rolną z dość utrudnioną komunikacją do pobliskich miast. Życie robotników szare, w pewnych momentach wybuchało żywiołowo, za co srodze było wówczas karane. Nasza endecja przedwojenna nigdy nie zmyje ze siebie hańby 1905 r., za te niepotrzebne trupy robotników, które wtedy padły. Opowiem tylko to, co sam przeżywałem z Jankiem, bo poprzedniej zbrodni, dokonanej na robotnikach, nie pamiętam dobrze i tylko o niej słyszałem.

Przybyliśmy do Łanięt na kilka minut przed 12-tą, kiedy robotnicy mieli wychodzić na obiad. Ponieważ już raz tu byłem, kilku robotników mnie znało, więc szybko zawiadomili towarzyszy, że będzie zebranie. Przemawiałem na podwórzu fabrycznem w pobliżu bramy. Przy końcu mego przemówienia na podwórze wpadło dwuch panów z dubeltówkami w rękach (podobno oficjalistów z pobliskiego folwarku) i natarli na nas, chcąc nas położyć trupem. Widząc, co się święci, wezwałem robotników całą siłą wymowy, by nie dopuścili do zbrodni. Stoi mi żywo przed oczami ta straszna scena: usmoleni robotnicy, z zawiniętemi rękawami koszul momentalnie otoczyli zbrodniarzy, wyrwali im dubeltówki, łamiąc je w drobne kawałki. Nad tymi, którym broń odebrano, chcieli zaraz dokonać samosądu. Dusze robotników bowiem były wtedy do najwyższego stopnia nabrzmiałe bólem, płynącym z codziennie doznawanych naigrawań, znęcań się i obelg wobec klasy robotniczej, jej ideałów, jej godła i organizacji, którą starano się rozbić.

Trzeba było widzieć „zuchów", jak prosili o przebaczenie, gdy obok nich leżała strzaskana broń, z którą przyszli bić i zabijać „wywrotowych agitatorów, żydowskich pachołków i t. p.". Powiedziałem wówczas towarzyszom, by ich puścili, aby ich nie bili. Niech wiedzą i zapamiętają na całe życie, że my, socjaliści polscy, nie łakniemy krwi bratniej, że prowadzimy walkę z wszelką krzywdą klasy robotniczej, bez względu od kogo ona pochodzi, że jednak dziś już mamy tyle sił, iż nie pozwolimy się zabijać pańskim pachołkom. W tym momencie wyjęliśmy z kieszeni brauningi i pokazaliśmy tym niedoszłym mordercom, mówiąc, iż drogo musielibyśmy okupić naszą śmierć i niewiadomo jeszcze, kto byłby panem placu boju. Niechajże tedy broń, którą chcieli przeciwko nam kierować, odwrócą w kierunku wrogów Polski i klasy robotniczej.

Wiec zakończyliśmy wezwaniem do pracy organiza-

cyjnej, oraz okrzykami: „Precz z caratem". „Precz z niewolą i wyzyskiem". „Niech żyje rewolucja". „Niech żyje PPS.". Czuło się, że te okrzyki były wyrwane z głębi serc robotniczych.

Nie poszliśmy już do robotników na obiad, lecz bocznemi drogami skierowaliśmy się do Krośniewic.

Jak się potem okazało endecy w Kutnie dowiedzieli się jakimś sposobem, żeśmy z Jankiem pojechali do Łaniąt, więc wysłali za nami kilku wynajętych drabów, których uzbroili w rewolwery. Na czele endeków w Kutnie stał wtedy zażarty wróg polskich socjalistów — dr. Troczewski. Opryszki przybyli do Łaniąt, gdyśmy już odeszli. Zaczęli nas gonić w polu i okrążać, ale było ich tylko 6—8-iu. Nie uciekaliśmy początkowo, nie wiedząc, że to na nas napad, dopiero kiedy zaczęli do nas strzelać, szybko zorjentowaliśmy się, że to nowa banda i zaczęliśmy się odstrzeliwać. Najemni siepacze, widząc w naszych rękach broń, rozbiegli się na wszystkie strony. Tymczasem robotnicy zaalarmowani w czasie obiadu strzałami wybiegli masowo w pole. Szczęście zbirów, że zbiegli, inaczej otrzymaliby zasłużoną karę.

Dostaliśmy się wieczorem bez dalszych przeszkód do cukrowni Ostrowy, zaś bojówka endecka jeszcze przez parę dni była chowana w pobliskich folwarkach.

Na I Zjeździe Łanięta wykazały organizację w sile 42 ludzi. Delegatem był tow. Teodor Cichocki. Na następnych Zjazdach delegatów już nie było. Zapamiętałem sobie z Łaniąt kilku dzielnych towarzyszy, u których odbywały się konspiracyjne zebrania, dość liczne nawet.

Cukrownia Ostrowy.

O tej cukrowni można śmiało powiedzieć, że robotnicy żyli tu, jako świadomi obywatele. Żyli pełnem życiem, w ogniu walki politycznej i ekonomicznej. Dobra nowina socjalistyczna umiała tutaj trafić i znalazła serdeczne przyjęcie. Kilka razy byłem na zebraniach organizacyjnych i na dwuch publicznych wiecach. Gdy wchodziło się w obręb zabudowań fabrycznych a zwłaszcza na drogach, którędy najwięcej przechodziło robotników, na parkanach i budynkach wisiały szczątki odezw i napisane kredą białą i czerwoną różne hasła, a także wykrzykniki esdeków przeciwko PPS. Śmiesznie to wyglądało, że esdecy więcej energji wyładowywali przeciwko nam, niż przeciw caratowi i burżuazji. Wpływów dużych nie mieli, ale garść robotników była przy nich, tembardziej, że stale tam siedzieli i pod-

sycali nienawiść do PPS. szewc Antoni Reszke (zginął podczas wojny światowej), Feliks Reszke, Stanisław Gapiński i Józef Traczyk. Gdy powstawał Związek Zawodowy, to robotnicy instynktownie odczuli potrzebę bezpartyjnego Związku i zapisywali się masowo do nas. Na zebraniach i na wiecach nigdy do otwartej dyskusji nie dochodziło, bo esdecy się jakoś od tego uchylali. Wiem również, że mieli opiekuna w osobie jakiegoś urzędnika kolejowego, do którego jakiś mało orjentujący się towarzysz dał mi kiedyś adres. Gdy się z tym urzędnikiem zetknąłem, sprawa się wyjaśniła, mimo to zatrzymał mnie na herbatce, choć przekonać się nie dał.

Organizacja partyjna w Ostrowach była silna, mając 50 czynnych członków, płacących składki. 28 października 1906 r. na konferencji okręgowej PPS. w Łowiczu przedstawicielem był tow. Feliks Mastalerz. Towarzysze tamtejsi do dnia dzisiejszego mają pamiątkę owych czasów w postaci czerwonego sztandaru, z napisem: „Precz z caratem. Niech żyje rewolucja. Niech żyje Polska Partja Socjalistyczna".

Członkami Komitetu partyjnego byli wtedy tow. tow.: Danecki Aleksander — umarł w 1924 r. na suchoty, Mus Kazimierz — wywieziony przymusowo umarł w drodze do Rosji, Góreczny Józef — zabity przez maszynę w 1919 r., Michalski Andrzej i Frydrychowski Stanisław — obaj dotychczas pracują w Ostrowach.

Do bojówki PPS. należeli: Mus Feliks — zabity w fabryce podczas kampanji 1924 r., Sierocki Teofil, Błaszczak Stanisław, Obrembski Władysław i Karczewski Józef, który jednak niedługo był w piątce, bo został zawieszony za pijaństwo. Towarzysze ci łącznie z Łęczycką bojówką brali udział w konfiskacie pieniędzy rządowych pod Kłodawą.

Na I Zjeździe Ostrowy miały 55 członków Związku, którzy delegowali tow. tow.: Aleksandra Daneckiego i Andrzeja Michalskiego. Na II Zjeździe — członków było 145, a delegatami byli tow. tow.: Sierocki Teofil, Świątek Józef i Danecki Aleksander. Ten wzrost liczby członków był skutkiem zdecydowanego przełomu wśród robotników, których esdecy wciąż łudzili i dociągali na swą stronę.

Należy jeszcze wspomnieć o mechaniku z tej cukrowni Gustawie Żebrowskim i studencie Eugenjuszu Napieralskim, którzy sympatyzowali z naszym ruchem.

W innem miejscu wspomniałem o tem, jak piątka bojowa pojechała do Łowicza, aby mnie wyswobodzić z więzienia.

Mam przeto wrażenie, że oprócz wyżej wspomnianych towarzyszy istniała jeszcze w cukrowni Ostrowy jedna lub dwie piątki bojowe, tak dobrze zakonspirowane, że nawet Komitet o nich nie wiedział. Zdarzało się to w naszej organizacji, ponieważ robota bojowa partji była prowadzona niezależnie od organizacyjnej, tak, że bardzo często miejscowy Komitet nie wiedział, kto i ilu członków organizacji należy do bojówki, zwłaszcza do tych, które powstały po VII Lwowskim Kongresie partji.

Ze wszystkimi towarzyszami ówczesnymi znałem się i z nimi pracowałem, przeto tutaj wszystkich serdecznie wspominam, choć nie wymieniam nazwisk. Stwierdzam pozatem, że tam, gdzie idea socjalistyczna znalazła gorące i oddane serca robotników, tam ten święty ogień nie zostanie już zagaszony żadną wrogą siłą.

Cukrownie: Dobrzelin, Walentynów i Tomczyn.

Tworzyły one, jakby trójkąt wokoło osady Żychlin. Największą z trzech była cukrownia Dobrzelin, najmniejszą — Tomczyn. Nieco dalej od Żychlina znajdowała się cukrownia Model, należąca do tegoż zespołu cukrowni, których robotnicy mieli najwięcej możności komunikowania się między sobą. Najsilniejszą była organizacja w Dobrzelinie, bo też tu najczęściej przyjeżdżali towarzysze.

Gdy przybyłem do okręgu kutnowskiego, we wszystkich tych cukrowniach istniała już organizacja polityczna oraz piątki bojówki. W każdej zastałem grono b. sympatycznych towarzyszy, trzymających w rękach nici roboty. Młodzież rwała się do walki czynnej, starając się wszelkiemi siłami dostać do bojówki, co poczytywano sobie za zaszczyt. Po każdym wiecu i zebraniach zwracali się do mnie młodzi towarzysze, abym ich „przyjął" do bojowej organizacji. Gdy się zgłosiło dwuch, trzech, narazie szyfrowałem sobie ich nazwiska i pseudonimy, poczem oddawałem ich instruktorowi bojowej organizacji do dalszego wyszkolenia bojowego.

Z cukrowni Dobrzelin zostali w r. 1907 rozstrzelani w Łowiczu trzej towarzysze, złapani na robocie bojowej: Merc Adam — lat 19, Antczak Józef — lat 19 i Porosieński Stefan — lat 20. Organizacja nasza w Łowiczu otacza opieką miejsce stracenia tych dzielnych bojowników. Hardo trzymali się oni na sądzie i śmiało wrogom i katom powiedzieli, że są żołnierzami rewolucji i żałują tylko tego, że za mało zrobili dla dobra ludu roboczego. Jeden tylko z nich przyjął księdza, który przyszedł

ich pobłogosławić na śmierć z wyroku najezdniczego rządu carskiego....

Tylko z dwuch cukrowni posiadamy wiadomości o rozstrzelanych bojowcach: z Hermanowa — trzech towarzyszy rozstrzelanych w Sochaczewie i z Dobrzelina — trzech, rozstrzelanych w Łowiczu. Wiadomości te otrzymaliśmy jednakże nie bezpośrednio od miejscowych robotników. Szkoda wielka, że dziś towarzysze tylko przy okazji nieraz przypominają sobie straconych bohaterów proletarjatu. Zarządy związków powinny się wystarać o fotografje tych męczenników i zawiesić ich portrety w lokalach swoich. Przecież oni życie swoje oddali, by powstała Niepodległa Polska, w której klasa robotnicza będzie mogła legalnie walczyć o całkowite wyzwolenie.

Wiem, że we wszystkich trzech cukrowniach były piątki bojówki, ale nazwisk nie udało się zdobyć od żyjących dziś towarzyszy, tak, jak to udało się zebrać szczegóły tow. Radwańskiemu, gdy chodziło o cukrownię Ostrowy.

Wogóle wśród robotników obserwuję zaniedbanie w sprawie otoczenia pamięcią i czcią serdeczną swych bohaterów, którzy wyszli z łona ludu roboczego. Cała młodzież powinna znać tych 19 i 20-letnich męczenników, którzy — jako członkowie bojowej organizacji PPS. — ginęli dla wielkiej idei socjalistycznej. Starsi towarzysze powinni opisać ich życie i pracę i wraz z podobiznami podać do wiadomości całej klasie robotniczej. (W każdym bądź razie poszczególni towarzysze lub zarządy związków powinny przesyłać znane sobie szczegóły i zdobyte u rodzin poległych fotografje do Zarządu Głównego Zw. Zaw. robotników cukrowni lub do Stowarzyszenia b. więźniów politycznych).

Najszersze masy muszą się dowiedzieć, że to, co obecnie lud polski posiada, nie spadło samo z nieba, lecz zostało okupione krwią i życiem tysięcy bohaterów, których imiona należy znać. Niech zatem nikt z żyjących towarzyszy nie szczędzi trudu i grosza na ocalenie od zapomnienia czynów bojowych i organizacyjnych poległych braci. Niechaj nie zbraknie żadnego ogniwa do tego łańcucha, którym lud roboczy całego świata chce opasać „ziemskie kolisko"...

Odszedłem trochę od tematu, ale chciałem choć tą drogą dać wyraz swej głębokiej czci dla męczenników idei.

Na pierwszym Zjeździe cukrownia Dobrzelin wykazała się 282 członkami, delegatami byli t.t.: Feliks Gnatowski, Stanisław Janiszewski, Feliks Kamiński, Franciszek Laskowski,

Mateusz Pakulski i Bronisław Pielecki. Na II Zjeździe od 328 członków delegatami byli t.t.: Kamiński Feliks, Czerwiński Franciszek, Laskowski Franciszek, Pakulski Mateusz i Halabry Wojciech. Na następnych Zjazdach oprócz powyżej wymienionych byli jeszcze t.t.: J. Dolata, Sz. Michalski, W. Bergier i A. Różycki oraz St. Żebrowski. Na I Zjeździe z cukrowni Dobrzelin wybrany został do Komisji Rewizyjnej t. Bronisław Pielecki, a na II — do Zarządu Głównego. Do Zarządu byli również wybrani: t. Kamiński Feliks na II Zjeździe, Szymon Michalski — na IV Zjeździe i Al. Różycki — na VII Zjeździe.

Dziś nie pamiętam do którego z ówczesnych towarzyszy najczęściej przychodziłem, ale to pamiętam dobrze, że w cukrowni Dobrzelin wielu było towarzyszów, oddanych naszej sprawie. W rękach robotników znajdowała się również spółdzielnia spożywców, o którą starał się jakiś jegomość, aby mu ją robotnicy odstąpili i w tym celu prowadził agitację, częstując całemi antałkami piwa, ale bezskutecznie.

Z inteligencji przypominam sobie urzędnika (zdaje się — Okólski), u którego mieliśmy na górze schowane różne dokumenty związkowe, książeczki członkowskie i t. p. Zdaje się, że i mechanik był naszym przyjacielem. Pozatem zmianowy Porajski był też naszym sympatykiem, a urzędnik akcyzy (nazwisko rosyjskie, socjalista - rewolucjonista) był naszym towarzyszem i został kiedyś aresztowany za wygłoszenie mowy do robotników.

Do pierwszej piątki bojowej należeli w Dobrzelinie t.t.: Flodziński Władysław, Pawlak Walenty, Pawlak Feliks — zabity z wyroku partji, Anczewski Władysław. Do drugiej piątki należeli rozstrzelani w Łowiczu i dwaj inni towarzysze. Jednym ze starszych czynnych towarzyszy był tow. Chałasiński Paweł.

Z cukrowni WALENTYNÓW mniej pamiętam szczegółów. Organizacja była tu dobra i tak liczna jak w Dobrzelinie. Na pierwszy Zjazd od 283 członków delegatami byli t.t.: Antczak Jan, Kluska Władysław, Mirecki Władysław, Pawlak Stefan, Trzciński Konstanty i Twierdziński Antoni. Na II Zjazd od 300 członków przybyli t.t.: Wawrzyniak Franciszek, Anczerowicz Szymon, Cieślak Dominik i Jakóbowski Wawrzyniec.

Cukrownia TOMCZYN miała także dobrą organizację zawodową i partyjną. Na czele oddziału związku i partyjnej organizacji stali t.t.: Stańczyk — przewodniczący, Matuszewski Franciszek — sekretarz. Obaj byli dłuższy czas członkami Zarządu Głównego Zw. prac. cukrowni. Na I Zjazd od 89 członków delegatami zostali t.t.: Cholewicz Wincenty i Wachowiak Jakób.

Bardzo miłe wyniosłem z tej cukrowni wspomnienia. Wszyscy towarzysze garnęli się do bojowej organizacji, a starsi zazdrościli młodzieży, że otrzymała z różnych względów pierwszeństwo nauki sztuki bojowej.

Cukrownia Model.

Jako dalej położona od Żychlina, miała słabszą organizację i cierpiała z powodu braku wyrobionych i odważnych towarzyszy. Wysłała delegatów tylko na I Zjazd (Andrzeja Trojanowskiego i Władysława Różyckiego od 76 członków). Organizacja polityczna PPS. mocniej się ugruntowała, zaś zawodowa, choć istniała, delegatów na następne zjazdy wysłać nie potrafiła. Choć tętno życia i walki było tu słabsze, panowała wśród robotników solidarność, bo już w 1905 r. zdobyli się na strajk (zakończony niepowodzeniem).

Pierwsze strajki.

Z pośród cukrowni pow. Kutnowskiego pierwszy strajk przeżyła cukrownia Sójki — w czerwcu 1895 r. Choć strajk ten się nie udał, wywarł na robotnikach duże wrażenie. W 1896 r. w cukrowni Młodzieszyn strajk miał szersze rozmiary, bo też w Młodzieszynie robotnicy byli bardziej uświadomieni i poziom ich kulturalny był wyższy. Pomyślnie dla robotników zakończył się strajk w Tomczynie w 1897 r., kiedy upomniano się za 20 robotnikami, wydalonymi, których przyjęto z powrotem na skutek tego właśnie solidarnego wystąpienia wszystkich robotników.

„Dopiero rok 1905 dla życia robotników cukrowni, jak zresztą dla życia całego proletarjatu Królestwa, miał przełomowe znaczenie: otrząsnął umysły ze śpiączki, raz na zawsze zburzył legendę patrjarchalnej zgody, odsłonił krzywdy wieloletnie, wyłonił nowe potrzeby — obudził do życia".

Jak sobie wówczas panowie wyobrażali swoje posłannictwo na ziemi w stosunku do klasy robotniczej, najlepiej ilustruje to klasyczny dokument jednego z magnatów polskich (mam wrażenie, że to w majątku Kleniewskiego). Jest to: Manifest do robotników z okazii objęcia na własność fabryki cukru (1907 r.). Z książki Waśniewskiego, poprzednio cytowanej:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Matka Najświętsza. Drodzy bracia i ukochani pracownicy fabryczni i rolni. Z woli i szczodrobliwości ojca mego i z łaski Bożej od dnia 1 lipca r. b. objąłem na własność majątek ziemski i fabrykę cukru i oto na samym wstępie moim do tych posiadłości spotkała

mnie wielka radość i wzruszenie, które wam, kochani moi, zawdzięczam. Zgotowaliście żonie mojej i mnie wspólnie z panami z administracji, dyrekcji i zarządu tak wspaniałe i serdeczne przyjęcie powitalne, że wrażenie tego wieczora zostanie nam we wdzięcznej pamięci do końca dni naszych. Najusilniej wierzymy, że to serca wasze dobre nas powitały. My też sercem całe życie wam odwdzięczać się staramy i będziemy. Prosimy Boga o łaskę, potrzebną nàm do ziszczenia tego, a mianowicie, abyśmy troskę naszą o Was i dzieci wasze mieli ciągle na myśli i sercu, wchodząc w szczegóły potrzeb waszych i dokładając starań, żeby ta opieka była ojcowska, t. zn. zapobiegliwa, kochająca, rozumna i sprawiedliwa.

Żeby nam to zadanie ułatwić oboje z żoną prosimy, żebyście dali nam pełnię zaufania waszego, odnosząc się do nas w każdej waszej potrzebie. Każdy z was będzie zawsze przyjęty i wysłuchany, a jeżeli możliwem będzie — zadowolony. Pośrednictwa obcych lub życzeń przez postronnych wam narzuconych lub wymuszonych nigdy nie przyjmę ani wysłucham, bo między wami a nami niema miejsca dla innych. To miejsce winno być wypełnione przez zaufanie, szczerą wiarę i życzliwość, a nakoniec — przez wspólny interes.

Na pamiątkę szczerego waszego powitania postanowiłem wraz z żoną moją wszystkie rodziny pracowników tak fabrycznych jak i rolnych mojego gospodarstwa zapisać do kasy przezorności za odpowiedniemi wpłatami. Szczegóły będą wam w swoim czasie ogłoszone. Drogą oszczędności dochodzi się do mienia i niezależności. Pragnęlibyśmy bardzo gorąco, żeby to stało się zapoczątkowaniem i zachętą dalszego waszego działania w tym kierunku; wierzę, że do wspólnej pracy staniecie ochoczo w poczuciu obowiązku waszego. Niechaj tej wspólnej pracy naszej Pan Jezus wraz z Matką swą raczą błogosławić i wtedy niewątpliwie owoce dobre z niej będą dla was, dla mnie, a co najważniejsze — dla dobra ukochanej ojczyzny naszej".

Prawda, jak czuć z tego manifestu nieograniczonego małego despotę, dobrodzieja? Jak jednostronnie taki „katolik" rozumie religję, gdy robotnikom swoim powiada, by im Pan Jezus i Matka Jego błogosławili, a zyski z ich ciężkiej pracy on będzie sobie brał do kieszeni i pomnażał majątki ojcowskie, a robotnikom stworzy kasę przezorności. A to ci dobrodziej! Ale pośrednictwa obcych nigdy nie przyjmie, chociaż robotnicy już jesienią 1905 r. w żądaniach swoich w § 6 domagają się:

„Przy cukrowniach należy założyć kasy przezorności z udziałem robotników w zarządzie, — przyczem robotnikowi, ustępującemu z fabryki, należy wypłacić cały fundusz A. i B.".

Zdaleka już ten manifest pachnie, bo został wysmażony na przestarzałym oleju patrjarchalizmu. Pełen fałszu, obłudy i źle ukrytej klasowej wyższości, dlatego też nic nie mógł przeszkodzić w bojowym pochodzie ludu roboczego. Pozostanie jednak ten manifest, jako pamiątka ówczesnych stosunków, gdy to zaczęła się budzić z wiekowej niewoli klasa robotnicza, a gdy panowie takimi sposobami chcieli wstrzymać jej zwycięski pochód.

Zjazd w cukrowni Józefów.

W początkach sierpnia 1906 r. odbył się pierwszy półlegalny Zjazd robotników w cukrowni Józefów pod Warszawą. Nie pamiętam, czy byli na tym Zjeździe delegaci ze wszystkich cukrowni, ale Zjazd był dość licznie obesłany. Odbywał się w szkole fabrycznej, formalnie przepełnionej. Zjazd ten przygotowaliśmy z „Felkiem" (t. Ciszewskim) celem porozumienia się towarzyszy między sobą w sprawie statutu związku i całego szeregu spraw natury organizacyjnej. Niestety, na Zjeździe tym mogliśmy być tylko przy jego otwarciu, albowiem musieliśmy jechać z tow. Felkiem na sąd polubowny do cukrowni Zagłoba, gdzie byliśmy arbitrami robotników.

Wygłosiliśmy tylko krótkie przemówienia powitalne i złożyliśmy życzenia Zjazdowi, poczem zaraz wyjechaliśmy. Nie pamiętam też dziś, co na tym Zjeździe w szczegółach uchwalono, ale z opowiadań towarzyszy - uczestników, Zjazd ten dał bardzo wiele w sprawie umocnienia się Związku po odbytem już zwycięstwie robotników, podczas akcji jesienią 1905 roku (wystawienie znanych już żądań) i całego szeregu strajków.

Sąd polubowny w cukrowni Zagłoba.

Choć w paru słowach należy przypomnieć, że „ojciec narodu", podpisany pod odezwą polskich panów w sprawie uspokojenia zrewolucjonizowanego społeczeństwa przeciw caratowi, — p. Kleniewski — właściciel kilku folwarków, cukrowni Zagłoba i in. — jak władca pańszczyźniany, pod osłoną i przy pomocy carskiej policji, — kazał wyrzucić robotników cukrowni z mieszkań na bruk po odbytej kampanji. Ta bezwzględność miała złamać solidarność robotników i ich świadomość organizacyjną. Nawet biskupa lubelskiego łaski dla siebie umiał zdobyć czy kupić.

W czasie bowiem, gdy policja wyrzucała robotników z mieszkań, ten rzymsko - katolicki biskup rzucił formalną klątwę na robotników, zakazując mieszkańcom okolicznych wsi przyjmowania wyrzuconych pod dach. Jednakże znaleźli się włościanie jednej wsi, mianowicie wsi Kępy, którzy przyjęli do siebie na mieszkanie zlokautowanych robotników.

Gdy wspominam o tem, mimowoli cisną się na usta złorzeczenia przeciwko filarom polskiego i rzymsko - katolickiego społeczeństwa, którzy w niewoli carskiej spodleli do cna, utracili i zaprzedali godność i honor człowieka. I tacy faryzeusze mają jeszcze czelność oskarżać socjalistów, że walczą z kościołem.

Cóż mieli wtedy zrobić zgnębieni robotnicy? Czy iść prosić biskupa o błogosławieństwo? Oni biskupa czcili — jako wierzący katolicy, a on, nie znając ich i ich walki — wbrew przykazaniom Chrystusa — wyklął nieszczęśliwych, pomagając nie Bogu, lecz siepaczom carskim i bogatemu gnębicielowi ludu roboczego. To też robotnicy z pogardą mówili o tym rzekomym słudze Bożym, a także część świadomych i odważniejszych włościan potępiała tę bandę wyzyskiwaczy, ich sługusów i obrońców.

P. Kleniewski sądził, że zwyciężył: przez usłużnych zdrajców klasy robotniczej najął z Lublina nową partję robotników i czynił przygotowania do jesiennej kampanji.

A jednak w duszach panów żyła trwoga, bo wiedzieli, że przytuleni na Kępie robotnicy nie są zupełnie opuszczeni, że choć przez „samego" biskupa wyklęci, spacerują sobie codziennie pod fabryką i oknami pałacu a, zaczepiani przez pańskich szpiclów, hardo odpowiadają, że „nad nimi czuwa Polska Partja Socjalistyczna i skrzywdzić ich nie pozwoli".

P. Kleniewski z rodziną wyjechał zagranicę, niewiadomo tylko, czy ze strachu, bo wiosną 1906 r. otrzymał króciutką odezwę CKR-u i list OKR-u z Lublina.

Odezwa CKR. PPS. ostrzegała p.p. obszarników, że jeżeli który z nich zawezwie carską policję lub wojsko do pomocy w gnębieniu robotników, będzie uważany, jako zdrajca kraju, i jak zdrajca ukarany.

W liście swoim OKR. Lubelski kategorycznie oświadczył, p. Kleniewskiemu, że jeżeli robotnicy nie zostaną przyjęci napowrót do pracy i poprzednich mieszkań, to zbrodnia jego nie będzie ani darowana, ani zapomniana. Odpowiednio do dalszego postępowania p. Kleniewskiego, Komitet wyda swoje zarządzenia.

Widocznie p. Kleniewskiemu ktoś z rozumnych przyjaciół doradził, by w tej sprawie zwołał sąd polubowny. Wicedyrektor cukrowni Mała Wieś został uproszony, by mnie odnalazł i zakomunikował o proponowanym sądzie. P. Lewandowicz odszukał mnie w Płocku i bardzo namawiał, byśmy się zgodzili na ten sąd.

Zaraz na drugi dzień pojechałem do Warszawy, aby zakomunikować o tem C. K. R-owi i Wydziałowi Wiejskiemu. Poruczyli oni załatwienie tej sprawy tow. Felkowi — Ciszewskiemu i mnie.

Pojechaliśmy do Zagłoby. Najpierw zgłosiliśmy się do robotników na Kępę, by z nimi omówić całą sprawę. Robotnicy byli zadowoleni, że o nich nie zapomniano. Potem pojechaliśmy do dyrektora, który natychmiast zawiadomił arbitrów p. Kleniewskiego. Byli to okoliczni ziemianie, więc za godzinę siedzieliśmy już w gabinecie dyrektora na naradzie. Nie mogliśmy się jednak łatwo zgodzić na osobę superarbitra, bo tego któregośmy stawiali, oni odrzucali, a ich kandydata myśmy nie chcieli. Długie targi nie doprowadziły do zgody, więc odłożyliśmy posiedzenie do następnego tygodnia.

Umówiliśmy się z Felkiem i za tydzień pojechaliśmy znów na posiedzenie, na którem Felek miał postawić kandydaturę p. Jewniewicza, dyrektora cukrowni Ciechanów, którego brat był naszym członkiem, czy sympatykiem, sam zaś dyrektor był uważany za dobrego, uczciwego i sprawiedliwego człowieka.

Znów pojechaliśmy najpierw na Kępę, zaledwie zdążyliśmy się umyć i zjeść skromne śniadanie, gdy jeden z towarzyszy przybiegł z wiadomością, że do wsi jadą kozacy. Szybko zajęliśmy się ukryciem przed niechybnem aresztowaniem. Było to jednak trudną rzeczą.

Wieś Kępa leżała tuż nad brzegiem Wisły, a z drugiej strony stały stare wierzby i rosła wysoka pokrzywa. Wyszedłem z dwoma robotnikami nad Wisłę i wsiedliśmy do łódki, używając niby to przejażdżki. Wisła była w tem miejscu otwarta, więc kozacy zaraz nas zauważyli i zażądali, byśmy przybili do brzegu, bo w przeciwnym razie będą strzelać. Zawinęliśmy do brzegu, a ja przez ten czas powoli zniszczyłem wszystkie szyfry i notatki, jakie tylko miałem przy sobie.

Na brzegu oficer kozacki wypytywał mnie, skąd i poco przybyłem i t. p. Zrewidowano mnie i po krótkim namyśle oficer powiedział, że jestem aresztowany i będę odstawiony do Puław.

Otoczyło mnie zaraz z dziesięciu kozaków i nikogo do mnie nie dopuszczali. Czekałem pół godziny na sprowadzoną furmankę, którą w otoczeniu kozaków pojechałem do Puław.

Gdy ujechaliśmy dwa kilometry, wyprawa kozacka zatrzymała się, udając się na poszukiwanie do wsi. Odetchnąłem, gdy wrócili sami: przynajmniej Felek został uratowany. Wolno jechaliśmy dalej do Puław, które już zdaleka majaczyły przed memi oczami. Rozmyślałem nad przyczyną tego najazdu kozackiego, układałem plan tłómaczenia się przed żandarmerją, a wogóle czułem się dobrze i byłem wesoły, bo nic u mnie nie znaleźli i nie mogli długo trzymać.

Byłem w tym błogim nastroju, gdy dogonił nas powóz, w którym jechał administrator cukrowni „Zagłoba". Zaczął zaraz coś opowiadać oficerowi kozackiemu, który dał tymczasem rozkaz odpoczynku, bo wjechaliśmy do jakiejś wsi. Wkrótce nadjechał drugi powóz z dyrektorem, który także zaczął coś przedkładać oficerowi. Zbliżyli się potem do podwody, panowie przywitali się ze mną, a oficer oznajmił, że jestem wolny, ponieważ ci panowie ręczą, że w napadzie na sklep monopolowy nie brałem udziału.

Podziękowałem panom za interwencję, oficerowi powiedziałem „do widzenia" i przesiadłem się do powozu, którym wróciliśmy wprost do fabryki.

Moi wyswobodziciele (dyrektor, administrator i jakiś pan) opowiedzieli mi przez drogę, że w czasie, kiedy mnie kozacy wywozili z Kępy, wpadł do kantoru fabryki „p. Felek" z rewolwerem w ręku i zagroził wszystkim, że ich powystrzela za przygotowaną na nas zasadzkę, którą zrobili pod pretekstem sądu polubownego. Powstało przerażenie, bo Felek z rewolwerem w ręku przebiegł przez „cel-budę", a szwajcar nie miał odwagi go zatrzymać. Dyrektor dał słowo honoru, że o niczem nie wie, więc natychmiast postanowiono wysłać wszystkie wolne pojazdy w pogoń za mną, by wytłómaczyć oficerowi, że zaszło jakieś nieporozumienie.

Administrator twierdził, że dał oficerowi 75 rb., ale tego napewno nie wiem. O Felku mówili, że gdy wpadł do kantoru był tak straszny, że wszyscy słuchali jego rozkazów i że teraz oczekuje mego powrotu, bo — jak twierdził — niech robią, co chcą, a mnie żywego i całego mają przywieźć.

Muszę jeszcze dodać, że gdy jechałem na wozie, otoczony kozakami, towarzysze robotnicy w liczbie koło dziesięciu czatowali po drodze, aby mnie odbić, ale, przekonawszy się, że nie dadzą rady, wrócili smutni pod fabrykę. To też ucieszyli się

niezmiernie, gdy mnie zobaczyli powracającego z panami. Nawet Felek, zawsze surowy i poważny, roześmiał się na moje powitanie.

Jak się potem okazało, w pobliskiej wsi gminnej został dokonany zamach na sklep monopolowy, skąd zabrano pieniądze skarbowe. Policja zaalarmowała całą okolicę i wezwała wojsko do pomocy, by schwytać sprawców zamachu. Ponieważ miałem w kieszeni około 30 rb., więc przypuszczali, że pieniądze mogą pochodzić z monopolu i dlatego mnie aresztowali.

Po tem wyjaśnieniu tow. Felek wygłosił krótkie przemówienie do wystraszonych urzędników administracji, cofając swoje podejrzenie, że kozacy zostali przez fabrykę sprowadzeni; więc gdy zostało stwierdzone, że był w błędzie, wszystkich bardzo serdecznie przeprasza.

Rozpoczęło się nasze posiedzenie. Znów odrzuciliśmy kilku kandydatów endeków, poczem Felek zaproponował dyrektora cukrowni Ciechanów, p. Jewniewicza. Zarządzono przerwę i zostaliśmy zaproszeni do dyrektora na obiad (co się kilkakrotnie w czasie sądu powtórzyło).

Raziła mnie wytworność tych obiadów, zwłaszcza w czasie, gdy równocześnie robotnicy zlokautowani ginęli w nędzy na Kępie. U dyrektorstwa podawali do obiadu lokaje w niebieskiej liberji, białych rękawiczek i takichże krawatach. Z pogardą patrzyliśmy na tę pompę i wielkopańskie maniery, a raczej małpowanie. Boć przecież dyrektor też jest najczęściej najemnikiem, ale udaje wielkiego pana, otrzymawszy do dyspozycji duży dom i odpowiedni deputat.

Podczas obiadu arbitrzy porozumieli się między sobą i zgodzili się na naszego kandydata. Nie pamiętam, jak umówiliśmy się co do posiedzenia sądu, zdaje się, że miało się ono odbyć dopiero po otrzymaniu zgody p. Jewniewicza i wyznaczeniu przez niego terminu.

Nie pamiętam również arbitrów p. Kleniewskiego. Przypominam sobie tylko, że jednym z nich był członek petersburskiej Rady Stanu, prawnik, lat około 50-ciu lub więcej, wysoki z zarostem. Drugi — również sąsiad p. Kleniewskiego — był to ciemny blondyn, o jasnej wyrazistej i sympatycznej twarzy, człowiek spokojny, z uczuciem i samodzielnych poglądach, lat około 40-tu. Pożegnaliśmy się i poszliśmy do robotników jeszcze raz omówić wszystkie sprawy, dotyczące lokautu, odszkodowań, mieszkań, deputatów i t. d., poczem końmi fabrycznemi pojechaliśmy do Puław.

W powrotnej drodze opowiedział mi Felek, w jaki sposób ukrył się przed kozakami. Po mojem wyjściu nad Wisłę zauważył, że między staremi wierzbami nadbrzeżnemi rosną b. wysokie pokrzywy. Rozejrzał się na wszystkie strony, a nie widząc nikogo, postawił kołnierz, włożył rękawiczki, nasunął kapelusz i wszedł w środek pokrzyw, jak do zagajnika. Położył się i udawał, że śpi. Z drżeniem serca „spał" i pilnie obserwował ruchy kozaków. Gdy otoczony kozakami wyjechałem, ze wsi, Felek szybko pobiegł do cukrowni z rewolwerem w ręku.

Tow Felek nie lubił wspominać o tych pokrzywach, choć dzięki temu ocalił siebie i mnie.

Posiedzenie sądu odbyło się w połowie sierpnia, lub trochę później. Sąd odbywał się w dużym pokoju blisko gabinetu dyrektora w pomieszczeniach kantoru. Sąd obradował dwa dni, bo musiał przeprowadzić jaknajszczegółowsze wyliczenie należności robotników za kilka miesięcy.

Przy otwarciu sądu superarbiter, p. Jewniewicz, zaapelował do arbitrów, by z całą powagą, sumiennością, bezstronnością i poczuciem sprawiedliwości przystąpili do rozpatrzenia nie tyle może ostrego zatargu, ile — niezrozumienia się i zawziętości w sprawie, leżącej przed nami.

Nie pamiętam już dzisiaj szczegółów przewodu tego niezwykłego sądu polubownego. Stwierdzam tylko, że radca stanu do obrzydliwości bronił interesów p. Kleniewskiego, zaś drugi obywatel zachowywał się z godnością i często (widać to było z jego twarzy) wstydził się za swego kolegę-„prawnika".

Gdy na drugi dzień rano stanęła sprawa przyjęcia robotników z powrotem do pracy, radca stanu w kategoryczny sposób sprzeciwił się temu, proponując natomiast znacznie wyższe odszkodowanie w gotówce. Obstawaliśmy ze stanowczością przy tem, aby krzywda i niesprawiedliwość, jaka się stała robotnikom przez usunięcie ich przemocą przez carską policję z mieszkań, — została naprawiona przez przyjęcie ich z powrotem do pracy i mieszkań.

Prawie pół dnia trwała na ten temat nieubłagana walka słowna. Co chwila groziło zerwanie rokowań. W ogniu tej walki wyszukanych przykładów i argumentów nabraliśmy takiego wyszkolenia, że nasze stanowcze żądania umieliśmy w b. grzecznej formie i bodaj z niemiecką flegmą przedstawiać. Na bardzo nieraz drastyczne argumenty radcy stanu odpowiadaliśmy niezmąconym spokojem i pewnością siebie.

Na posiedzenie nasze przybył p. Kleniewski, zaproszony

prawdopodobnie przez superarbitra. Pierwszy raz wówczas zetknęliśmy się z tym panem. Nie pamiętam dobrze, jak wyglądał. Zdaje się, że miał siwe wąsy, łysy, lat około 60-ciu. Zauważyłem, że z jednej kieszeni spodni wygląda mu rączka rewolweru. Zażądałem w tej sprawie wyjaśnienia, albowiem my byliśmy bez broni. P. Kleniewski położył wówczas rewolwer na szafie.

Gdy usiadł i dowiedział się, że domagamy się stanowczo przyjęcia robotników z powrotem do pracy, poruszył się, bo — na wszystko może się zgodzić, ale rozporządzać się jego własnością nie pozwoli.

— Jakto — powiedział, — to ja mam sobie pozwolić, aby mi wskazywano, co i jak mam robić we własnym majątku. To chyba jakieś nieporozumienie. Zaznaczam, że na tego rodzaju propozycje nigdy się nie zgodzę i nikt, żadna siła do tego mnie nie zmusi.

Tow. Felek:

— Jeżeli pan się zgodził na sąd polubowny, to postanowienia jego musi pan uszanować i całkowicie wykonać. Jeżeli natomiast pan powiada, że nie podda się uchwałom Sądu, możemy w tej chwili obrady przerwać i powiedzieć sobie „do widzenia".

— Owszem, zgodzę się na wynagrodzenie tych robotników, ale na przyjęcie ich z powrotem do pracy nie zgodzę się nigdy.

P. Jewniewicz zauważył, że jeszcze sąd w tej sprawie ostatecznie się nie wypowiedział, więc jest przedwczesnem sprawę tę rozstrzygać. Uważa zatem rozmowę za wypowiedzenie zdania przez strony. Poprosiłem o głos i zwracając się do p. Kleniewskiego, zapytałem go:

— Czy Pan czułby się pokrzywdzony, gdyby Pan, jak ci robotnicy, został przez policję wyrzucony z mieszkania na deszcz i zimno tylko dlatego, że upominałby się o traktowanie jak człowieka, o poprawę bytu? A tak przecież zostali przez Pana-Polaka potraktowani pańscy robotnicy-Polacy.

— To jest niemożliwe, mnie z moich majątków nikt wyrzucić nie może, proszę o inne porównanie.

— Pan widocznie nie zdaje sobie sprawy, że żyjemy w okresie walki rewolucyjnej, w czasie której wiele rzeczy może się stać możliwemi, które Pan dziś uważa za niemożliwe. Chcemy, aby sprawiedliwości stało się zadość; skrzywdzeni niesłusznie robotnicy muszą otrzymać całkowitą satysfakcję. Przez

zgodę nie uszczupli Pan swoich praw, lecz postawi się Pan poza zarzutem, że zdeptał Pan i poniewierał prawa robotnicze.

Ta rozmowa niezbyt przekonała p. Kleniewskiego, który długo jeszcze rzucał się jak nieprzytomny, upojony tytułem własności, z którą co chce, może robić. Żadne argumenty nie trafiały do jego obszarniczej szlacheckiej duszy...

Po krótkiej przerwie, w czasie której obie strony naradzały się oddzielnie, przystąpiliśmy do głosowania wniosków. Najdalej idącym był nasz wniosek, domagający się całkowitego wynagrodzenia za czas lokautu i przyjęcia wszystkich robotników na poprzednio zajmowane stanowiska. Za wnioskiem głosowaliśmy z Felkiem, przeciwko — radca stanu, a drugi arbiter wstrzymał się od głosowania. Wniosek nasz został uznany za przyjęty. Uzgodniliśmy protokuł i opatrzyli go podpisami (zdaje się z wyjątkiem podpisu radcy stanu).

P. Kleniewski, po przeczytaniu protokułu, powiedział, że robotników z powrotem do pracy nie przyjmie. Odpowiedzieliśmy, że ma w tej sprawie wolną wolę, ale jeśli nie podporządkuje się uchwałom sądu, my także nie będziemy się czuli niczem skrępowani w dalszej walce, na innej już płaszczyźnie, w obronie słusznych żądań ciężko pracujących robotników.

Podziękowaliśmy serdecznie naszemu superarbitrowi, pożegnaliśmy się z panami i poszliśmy do robotników, aby im przedstawić wyniki rokowań. Wyraziliśmy przypuszczenie, że p. Kleniewski się rozmyśli i podpisze zgodę, a gdyby nadal się upierał, dużo na tem straci, bo prawdopodobnie kampanji cukrownia nie zdoła przeprowadzić.

Widocznem było, że robotnicy się wahali: czy upierać się przy punkcie przyjęcia do pracy, czy też przyjąć odszkodowanie, które dla wielu robotników wynosiło znaczną sumę, tembardziej, że do umówionego przez nas odszkodowania radca stanu od siebie obiecał dodać dla tych robotników 3000 rubli. Z wyliczenia wynikałoby, że robotnicy, którzy pracowali kilkanaście lat, otrzymaliby po 2000 rb.

Przekonywaliśmy robotników wszelkiemi argumentami, by się nie łaszczyli na parę rubli więcej, lecz utrzymali zasadę, że jako zlokautowani, muszą być napowrót przyjęci, i — napewno będą, tylko muszą się trzymać solidarnie. Poszliśmy razem na Kępę, aby tam na ogólnem zebraniu powziąć decydującą w tej sprawie uchwałę.

Zebranie to było nad wyraz smutne. Robotnicy zgodzili się z naszymi argumentami i jednogłośnie uchwalili upierać się

przy warunku ponownego przyjęcia do pracy, ale widać było, że są zatroskani.

Wybieraliśmy się z towarzyszami po furmankę na wyjazd do Puław, a wówczas przyjechał do nas lokaj z listem od dyrektora, zapraszającym nas na czarną kawę. Postanowiliśmy zaproszenie przyjąć i obiecaliśmy robotnikom zawiadomić ich, gdyby zaszły jakieś zmiany.

Na czarnej kawie zastaliśmy wszystkich panów w komplecie. Rozmowa potoczyła się o pogodzie, urodzajach, różnych wypadkach, wreszcie zeszła na politykę. Radca stanu jeszcze raz zaapelował do nas, jako „do rozumnych ludzi i dobrych Polaków", byśmy „patrzyli dalej i głębiej", no i... zgodzili się na odszkodowanie dla robotników. Odpowiedzieliśmy z dobrą miną, że sprawiedliwości musi się stać zadość, inaczej, gdy carat obalimy, a Polska uzyska Niepodległość, to p. Kleniewski zostałby napiętnowany, jako tyran i krzywdziciel.

P. dyrektora zawezwano do telefonu, a gdy wrócił, oznajmił nam, że za chwilę przyjedzie p. Kleniewski.

Nastrój panował wesoły, ale podniecony; odczuwało się, że uwaga wszystkich była skupiona na nas, na to, co mówiliśmy o naszych siłach bojowych, o celach rewolucji i t. d. i t. d. P. Kleniewski także pił kawę, spokojnie przyglądając się to Felkowi, to mnie, wreszcie spytał, co myślimy robić dalej. Odpowiedzieliśmy, że dalszą walkę zadecyduje, ewentualnie zaakceptuje Centralny Komitet Robotniczy; że wolelibyśmy, by p. Kleniewski uszanował decyzję sądu, a tem samem nastąpiło zawarcie pokoju, my zaś siły swe moglibyśmy skierować przeciwko najazdowi. P. Kleniewski nie mógł sobie w żaden sposób uprzytomnić, że idą nowe czasy i nowe prawa, miał także obawy, czy władza nie będzie miała do niego pretensji, że ustąpił przed wolą robotników. Radca stanu uspokoił pod tym względem p. Kleniewskiego, który w tym momencie siedział pochylony i b. zamyślony.

— Dobrze — powiedział w końcu — podpiszę zgodę na przyjęcie wydalonych robotników, ale pozostaje we mnie uczucie, że zostałem do tego zniewolony, bo to nie jest moja wolna i dobra wola...

Odpowiedziałem p. Kleniewskiemu, że gdy robi dobry uczynek, z pewnością tego nigdy nie pożałuje, ani on, ani jego rodzina.

Prawdzie i sprawiedliwości stało się zadość!

Szczegóły wykonania protokułu pozostawiono dyrekto-

rowi. Przy sprawdzeniu okazało się, że wydalonych było 23 robotników, z których w czasie lokautu znalazło pracę 6-iu, a zatem 17-u, mieszkających przeważnie na Kępie, miało powrócić do pracy i mieszkań. Dyrektor ponadto zobowiązał się przyjąć tych z pośród owych 6-ciu, którzy zgłoszą się w ciągu sześciu dni, względnie rozmieścić ich po innych cukrowniach. Odszkodowanie mieli otrzymać wszyscy według obliczenia sądu.

Zawiadomiliśmy robotników o całkowitem moralnem i materjalnem zwycięstwie, które zawdzięczają solidarności i wytrwałości w ciągu ubiegłych miesięcy.

Niestety, o ile sobie dziś tę chwilę przypominam, nie zauważyłem wówczas takiej radości, jakiej należało się u nich spodziewać. Zaproponowaliśmy jeszcze, by wybrali z pośród siebie trzech przedstawicieli, którzy mieliby za zadanie dopilnowanie wykonania uchwał sądu. Pożegnaliśmy się z towarzyszami i wyjechaliśmy do Puław.

Nie wiem, czy wszystkie nasze uchwały zostały wprowadzone w życie, a wszyscy robotnicy przyjęci do pracy, bo nie miałem już sposobności być w Zagłobie.

W cytowanej już książce Waśniewskiego jest mowa o tym lokaucie w cukrowni Zagłoba. Podaje on, że p. Kleniewski nie zgodził się jednak przyjąć wydalonych, „a zakończył wszystkim wydalonym robotnikom odszkodowaniem za czas lokautu". Możliwe, że po naszym wyjeździe zaszły zmiany, bo pamiętam doskonale, że robotnicy niezupełnie podzielili nasze zdania. Zresztą przez kilka miesięcy lokautu wytworzyła się między fabryką a robotnikami taka nienawiść, że wielu wolało otrzymać nęcące wyższe odszkodowanie, niż stanąć do pracy razem z łamistrajkami i zdrajcami klasy robotniczej.

W każdym bądź razie pierwszy tak długotrwały i tak brutalny lokaut w przemyśle cukrowniczym nie dał p. Kleniewskiemu ani zysków materjalnych, ani też zadowolenia jego szlachecko - fabrykanckiej pychy. Robotnicy odnieśli całkowite zwycięstwo!

Na zakończenie, niech mi będzie wolno wyrazić jeszcze raz serdeczne pozdrowienie wszystkim ówczesnym towarzyszom-robotnikom, którzy zaciągnęli się w szeregi Polskiej Partji Socjalistycznej i wielką a ofiarną pracą stworzyli Związek Zawodowy Robotników Cukrowni.

Towarzyszom, którzy odeszli, i tym, których przemocą pozbawił życia przeklęty carat, i tym, którzy zginęli z bronią w rękach na placu boju, składam tutaj głęboki hołd i cześć!

W 25-tą rocznicę rozpoczęcia pracy organizacyjnej w cukrowniach b. Królestwa Polskiego, t. j. wśród najbardziej krzywdzonego i wyzyskiwanego ludu roboczego, który, obudzony przez P. P. S., powstał do walki o swoje prawa, o lepszą przyszłość, o wolność i niepodległość — te swoje skromne wspomnienia oddaję wszystkim towarzyszom, którzy w przemyśle cukrowniczym pracują i nadal zorganizowani w tym samym Związku Zawodowym walczą o całkowite wyzwolenie społeczne.

Wiele się zmieniło przez tych 25 lat. Nie jest więc prawdą, jak to kraczą źli i nieuświadomieni ludzie, że: „tak było, tak jest i tak będzie". Tymczasem widzimy, że tak nie jest, że obecnie jest lepiej, niż było, a będzie jeszcze lepiej, niż jest.

Idziemy wciąż naprzód pod sztandarami czerwonemi związków zawodowych i międzynarodowego wyzwolenia społecznego.

Na zakończenie należy podać do wiadomości wszystkich pracowników cukrowni, że po tym długim wstępie przygotowawczym w tworzeniu Związku Zawodowego Robotników Cukrowni Królestwa Polskiego w warunkach nielegalnych, konspiracyjnych, Związek ostatecznie został zalegalizowany dn. 28 kwietnia 1907 r. Od 12 maja do 30 sierpnia 1907 r. zorganizowano 38 oddz. w następujących cukrowniach: Borowiczki, Brześć-Kujawski, Chełmica, Ciechanów, Częstocice, Dobrzelin, Elżbietów, Guzów, Hermanów, Józefów, Klemensów, Konstancja, Krasiniec, Lublin, Leśmierz, Łanięta, Łukowe, Łyszkowice, Mała Wieś, Mircze, Michałów, Młodzieszyn, Młynów, Model, Nieledew, Ostrowite, Ostrowy, Rejowiec, Rytwiany, Strzelce, Sanniki, Sójki, Strzyżów, Tomczyn, Trawniki, Walentynów, Zagłoba i Zakrzówek.

Dnia 31 sierpnia i 1 września 1907 r. odbył się Zjazd Delegatów Związku w Warszawie, których przybyło 76, razem obecnych było na tym historycznym dziś Zjeździe 91 osób.

Zebranie zagaił prezes tymczasowego Zarządu Antoni Nowakowski. Do prezydjum wybrani przez aklamację: Stanisław

Szubert — cukr. Strzelce, Franciszek Wochna — cukr. Elżbietów, Feliks Nowacki — cukr. Częstocice, na sekretarzy zaproszono Józefa Kuczyńskiego — cukr. Ostrowite i sekretarza biura, Józefa Folejewskiego.

Porządek dzienny był b. obszerny, samych regulaminów do przyjęcia była 9. Zjazd przez dwa dni b. intensywnie pracował.

Do pierwszego Zarządu wybrani zostali następujący towarzysze: Franciszek Bułat, Władysław Kornelak, Antoni Nowakowski i Aleksander Kozłowski — z cukrowni Józefów, Wawrzyniec Ciszewski — cukr. Borowiczki, Tomasz Rutkowski — cukr. Rejowiec i Feliks Nowacki — cukr. Częstocice. Na zastępców: Władysław Włodarczyk i Władysław Błaszczyk z cukr. Józefów, Józef Gajewski z cukr. Sanniki. Do Komisji Rewizyjnej: Andrzej Michalski — cukr. Ostrowy, Józef Kuczyński — cukr. Ostrowite i Bronisław Pielecki — cukr. Dobrzelin. Zastępcy: Stanisław Szubert — cukr. Strzelec i Ant. Walczykowski — Ciechanów.

Tow. Feliks Nowacki, który był delegatem na konspiracyjny Zjazd 1905 r. w Warszawie, drugi raz 1906 r., a 1907 r. został wybrany wraz z innymi towarzyszami do pierwszego Zarządu Związku, dziś już w warunkach legalnych po powrocie z katorgi jest generalnym sekretarzem Związku od powrotu do kraju.

Wzywam wszystkich towarzyszy—budowniczych Związku Zawodowego Robotników Cukrowni b. Królestwa Polskiego, do podania mi nazwisk żyjących towarzyszy, działaczy rewolucyjnych, związkowych i członków bojowej organizacji P. P. S. Niech każdy pisze prawdę o tych bojowych, natchnionych czasach i niech przyśle do Zarządu Związku Robotników Cukrowni.

Obywatelowi B. Waśniewskiemu (profesorowi Konstantemu Krzeczkowskiemu), autorowi wymienionej przeze mnie książki o warunkach bytu robotników cukrowni, z której dużo korzystałem podczas pisania tych wspomnień, składam tutaj serdeczne podziękowanie. Tak cennego dzieła, jak książka o warunkach bytu robotników przemysłu cukrowniczego profesora K. Krzeczkowskiego, napewno nie posiada żadna inna gałęź przemysłu krajowego.